

# ODRODZENIE

## TYGODNIK

Rok II

Kraków, dnia 21 października 1945 r.

Nr. 47

JÓZEF SIERADZKI

# „Z każdym świtem umieraliśmy”...

Gdy wszechnice krakowskie zapisały w swej historii „Sonderaktion Krakau“, Lwów w dwa lata później doznał pogromu, który wysuwa się na samo czoło niemieckich zbrodni wojennych. W kilka dni po wkroczeniu Niemców do miasta, w nocy z 3 na 4 lipca 1941 gestapowcy w stopniach oficerów i podoficerów zabrali z mieszkań kilkudziesięciu członków profesorskiego ciała Uniwersytetu, Politechniki i Akademii Weterynarii, po czym zaginęli o nich wszelki ślad. Pisemne zapytania żon i krewnych pozostawały bez echa, albo odpowiedź niemiecka brzmiała:

— Sprawcy aresztu są nam nieznanymi.

### NOCNA WYCIECZKA

Leon Wieliczka ma dziś 19 lat. Jako piętnastoletni chłopiec był więźniem obozu koncentracyjnego w Janowie i należał do „brygady śmierci“, utworzonej w czerwcu 1943 z rozkazu Himmlera. Dzielili się ona na osiem grup: Suchkolonne (poszukiwacze trupów), Schleppe (wyciągali je z dołów), Träger (tragarze), ukladacze stosów, Brandmeister (palacze), Aschkolonne (popielarze — przesiewali popiół przez rzeszota wyławiając złoto), Streukolonne (siewcy, rozsypywali popiół i krupy kostne po polach), wreszcie kucharze i muzycanci, którzy przygrywali, gdy ciała plonęły na stosach.

„W piątek 8-go października 1943 nasz szef, Obersturmführer SD Scherlack rozkazał wybrać 20 najsilniejszych „figur“ w brzędzie na nocną robotę“. Pojechali o 8-ej wieczorem trzema ciężarówkami, zabrawszy żerdzie, nosze, łopaty i grabie. Był wspomniany Scherlack, jego zastępca Rauch, Sturmman Preis i inni jeszcze Niemcy, nadto w ochronie 40 szupowców. Przez Krzywczycki las, ulicami Łyczakowską, Zyblikiewicza, Pełczyńską, Kadecką, na tak zwaną Wólkę, wzgórzysty, niezabudowany teren, w pobliżu parku Stryjskiego, pomiędzy ulicami Wólecką i Kadecką. „Niedaleko od ogrodu zaczyna się wąska ścieżka, wiodąca w dół na ulicę Wólecką. Idąc nią, robimy dwa kroki w prawo, w zarośla osłonięte z trzech stron wzgórzami i za wskazówką oficera SD znajdujemy grób długości trzech metrów“.

### STRASZNE ŚWIADECTWO

Miejsce oświetlono projektorem. „Już na półmetrowej głębokości łopaty zawadzają o pierwsze trupy. Zachowały się dobrze, bo ziemia jest sucha i gliniasta. Zabici byli w porządnej odzieży. Widocznie ludzie z wyższej warstwy. Większość w ciemnych ubraniach. Z kieszeni jednego surduta wypada złoty zegarek na łańcuszku. Trupów było 38, w tym trzy kobiece. Wydobywamy wszystkie i układamy na maszynę. Kilku z nas opuszcza się do jamy i obmacując rękoma dno sprawdza, czy nie pozostał tam kawałek ciała, skóry lub strzęp odzieży. Potem zalewamy grób chlorem i zasypujemy ziemią. Równamy powierzchnię, zagładzamy grabiami i zasiewamy trawę“.

O pierwszej w nocy robota była ukończona. Nazajutrz ułożono przywiezione trupy na wielkim stosie, już przedtem przygotowanym, w którym mieściło się około 2½ tysięcy ciał, oblanego je smarem i benzyną i Brandmeister podpalił stos. „Od razu dochodzi odeń szczytnie. Nie wiadomo co syczy — ogień czy trupy“.

Potem był obiad i wypoczynek. Wyłącznym tematem rozmów podczas takiego wypoczynku było: „kogo dziś wykopano, kogo spalono?“

„Pod karą śmierci wzbrowniono nam dzielić się wrażeniami i wiadomościami o tym, co widzieliśmy podczas pracy. Nasze rozmowy odbywały się szeptem. Ale dziś szeptaliśmy jeszcze ciszej, wciąż się oglądając. Wymieniano nazwiska znane w całym Lwowie: Bartła, Stożka, Ostrowskiego. Gdy wieźliśmy trupy z Wólki na Łyczaków, najodważniejsi spośród nas zdążyli przeczytać dokumenty, które wypadły z odzieży zamordowanych. Wymienione nazwiska odczytano z papierów. Jeden z policjantów SD podjął dwa automatyczne pióra, które wypadły z odzieży zabitych. Teraz, za dnia, przyniósł je do naszego baraku dla oczyszczenia. Oba pióra firmy Waterman. Na jednym był napis: „Witold Nowicki“, na drugim: „Dr Tadeusz Ostrowski“. Na jednym piórze była złota skuwka około 1½ cm szerokości“.

„We wtorek rano z ogromnego stosu ciał została kupa popiołu. Przesiewano go cały dzień

przez rzeszota, a noca, rozrzucono po polach, by nie pozostał ślad po ofiarach niemieckiej zbrodni“.

Grupa Wieliczka z Sonderkommando 1005 napadła w październiku 1943 na strażników. Dwóch policjantów zabiło, kilku raniono. Z więźniów, którzy zbiegli do lasu, niewielu ocalało. Wśród nich był Wieliczka. Stąd świadectwo.

### PROF. FRANCISZEK GROER

„Nichts ist so fein gesponnen, dass es nicht käme an die Sonne“. Wierszowany aforyzm jednego z największych poetów niemieckich próżno ich poucał, że wszystko wyjdzie na jaw. Z „Bursy Abrahamowiczów“, do której zwieziono aresztowanych lipcowej nocy, wyrwał się cudem jedyny z nich, prof. dr Franciszek Groer, światowej sławy pediatra.

Już w mieszkaniu profesora przy ulicy Romanowicza, oficer gestapo, który przyjechał z 4-ma podoficerami, zawiązał dyskurs:

— Co pan robił za czasów władzy radzieckiej?

— Ratowałem dzieci.

— A córka?

— Była sanitariuszką w instytucie medycznym.

Znaleźli dyplom doktorski wrocławskiego uniwersytetu. Później był doktor Groer asystentem i docentem w Wiedniu. Żona jest Angielką. Zapraszany do Anglii, wygłaszał tam odczyty, przez pewien czas wykładał na uniwersytecie w Chicago.

Urzędujący w „Bursie Abrahamowiczów“ oficer policji zmienił ton pod wpływem tych okoliczności. Może ze snobizmu, z uwagi na pochodzenie prof. Groera. A może liczone na jego nawrócenie.

— Zobacz, co będzie można dla pana zrobić, profesorze.

Parki wstrzymały nożycę tuż przy nici. Zbir w mundurze oficera rozmyślił się:

— Pan jest wolny. Proszę wyjść na dwór i przechadzać się tam, nie robiąc wrażenia aresztowanego. O 6-tej rano pójdzie pan do domu.

Uszło również śmierci 5—6 kobiet ze służby prof. Greka i Ostrowskiego, aresztowanych wraz z nimi, ich żonami i gośćmi.

### CO BYŁO

#### W „BURSIE ABRAHAMOWICZÓW“

„Przed gmachem „Bursy Abrahamowiczów“ — opowiada prof. Groer — wysadzono nas i wprowadzono po schodach na korytarz. Stało tam już 15—20 ludzi z opuszczonymi głowami. Korytarz i dziedziniec zapelnione były gestapowcami. Niebawem przywieziono nową partię aresztowanych. Wśród nich poznałem znakomitego chirurga, prof. Tadeusza Ostrowskiego. Ale trudno było widzieć twarze więźniów, ponieważ stali z opuszczonymi głowami i było ciemno. Gdy któryś z aresztowanych tylko trochę podnosił głowę, otrzymywał uderzenie kolbą i sypały się na niego brutalne wyzwicka. Liczba aresztowanych wciąż wzrastała. Słychać było jak zajeżdżały coraz nowe samochody.

W końcu liczba więźniów wzrosła do około 36—40 osób. Gdy tylko jakiś gestapowiec przechodził koło nas, mimochodem targał nas za włosy albo bił kolbą karabinu po głowach. Z piwnic domu dochodziły krzyki uwięzionych, wyzwicka gestapowców i co pewien czas wystrzały. Po każdym wystrzale pilnujący nas gestapowcy mówili:

— O jednego mniej.

Zaczęto wywoływać nazwiska aresztowanych. Usłyszałem wyraźnie nazwisko prof. Ostrowskiego. Wywołanych wyprowadzano, jak przypuszczałem, na przesłuchanie. Przesłuchany przez „naczelnika“ wyszedłem na korytarz, gdzie stali, ale już nie twarzą ku ścianie, prof. Roman Rencki, terapeuta, i prof. Adam Sołowij, ginekolog, liczący 82 lata. Po tem wyszedłem na dwór, zapaliłem papierosa i włożywszy ręce do kieszeni zacząłem chodzić po dziedzińcu.

Świtało. Po pewnym czasie wyprowadzono grupę profesorów 10—12 osób, pod konwojem Czwerej nieśli okrwawionego trupa młodego człowieka. Jak później dowiedziałem się, były

to zwłoki Ruffa, syna znanego chirurga, który wraz z rodziną przebywał w mieszkaniu Ostrowskiego. Ruffów zabrano wraz z księdzem Komornickim i innymi gośćmi Ostrowskich tejże nocy.

Młody Ruff został zabity podczas przesłuchania, gdy doznał ataku epilepsji. Poznałem trzech z czterech profesorów, którzy nieśli jego ciało. Bez żadnej wątpliwości byli to: Witold Nowicki, Włodzimierz Krukowski, Stanisław Pilat i jeszcze ktoś czwarty, zdaje się profesor Stożek. Całą tę grupę poprowadzono przez dziedziniec za budynek, w którym znajdowaliśmy się w pierw. Prowadzono ich, jak mi się zdawało, w kierunku tzw. „Kadeckiej Góry“. Gdy już znikli z oczu, widziałem jak żołnierze gestapo zmusili żonę prof. Ostrowskiego, Jadwigę oraz żonę i matkę Ruffa do zmywania krwi na schodach, po których zniesiono trupa ich męża i syna.

Mineło znów 20—30 minut. Wtem od strony, w którą uprowadzono profesorów wraz ze zwłokami Ruffa, usłyszałem salwę z kilku karabinów. Nie pamiętam, czy były to dwie, czy trzy salwy, czy tylko jedna.

Był już jasny dzień. Znów minął jakiś czas i z budynku wyprowadzono dalszą grupę profesorów, również 15—20 i ustawiono wszystkich pod murem budynku, twarzami do muru. Poznałem wśród nich profesora Mączewskiego. Wraz z tą grupą wyszedł „naczelnik“, który mnie przesłuchiwał. Powiedział on do pełniących straż:

— A ci pójdą do więzienia.

Odniosłem wrażenie, że słowa te były wypowiedziane raczej, aby zbić mnie z tropu.

Ponieważ było już około 6-tej rano, „naczelnik“ zwolnił wrzód służące profesorów, potem mnie. Gdy odchodziłem, ostatnia grupa stała jeszcze pod ścianą“.

W kilka dni później zjawili się w mieszkaniu prof. Groera dwaj podoficerowie gestapo, obecni podczas aresztowania i rewizji w nocy 3 lipca. Przybyli jako goście. Jeden nazywał się Hacke, drugi Keller. Odwiedziny swe ponawiali później jeszcze kilka razy.

Raz prof. Groer zapytał Kellera:

— Co stało się z innymi profesorami?

— Wszystkich rozstrzelano tej samej nocy. I Keller machnął ręką.

### BILANS NOCY LIPCOWEJ

Kazimierz Bartel, Tadeusz Boy-Zeleński, Antoni Cieszyński, Władysław Dobrzański, Jan Grek z żoną, Jerzy Grzędziński, Henryk Hilarowicz, ksiądz Komornicki, Włodzimierz Krukowski, Roman Longchamps de Bejier z trzema synami: Bronisławem, Zygmuntem i trzecim niewymienionym z imienia, Antoni Łomnicki, Stanisław Mączewski, Witold Nowicki z synem Jerzym, Ostern, Tadeusz Ostrowski z żoną Jadwigą, Stanisław Pilat, Roman Rencki, Stanisław Ruff z żoną, synem i synową, Włodzimierz Sieradzki, Adam Sołowij, Włodzimierz Stożek, Kasper Weigel, Roman Witkiewicz i nieznaną z nazwiska nauczycielka gimnazjum.

Aresztowanych traktowano już w domu brutalnie. Do 71-letniego prof. Sieradzkiego krzyknął oficer gestapo:

— Du bist Jude, gestehe!

Gdy ułożono prof. Witkiewicza, rzucił się na gestapowców pies. Jeden z gestapowców, strzelając do psa, zranił profesora w rękę. Ranę wzbrowniono przewiązać. Profesor wsiadł do policyjnego auta brocząc krwią.

Prof. Sołowij miał w chwili aresztowania 82 lata. W czterech wypadkach zabrano synów, w dwóch żony aresztowanych. Z mieszkania prof. Greka wzięto wszystkich, którzy u niego wtedy bawili, w tym Tadeusza Boya-Zeleńskiego.

### KRZYŻACY

Jaki był cel lwowskich „niesporów“? Niemiecka zbrodnia miała swoją teorię i swoją metodę. Genetyka i psychologia zbrodni prowadzi w gąszcz spraw zawiłych i mocno jeszcze mrocznych. Ale cel akcji lwowskiej zarządzonej w chwili, gdy w mieście przebywał sam wielki komtur zbójnickiego zakonu, Himmler, nie nastęcza wątpliwości. Postępowano błyskawicznie, bez zachowania pozorów choćby procedury sądowej, z pominięciem formalności stosowanych wobec nieoprawnych zbrodniarzy. Akcję niszczenia uczonych przeprowadzono tak szybko, że nawet niektóre niemieckie czynniki były zasko-

### EUGENIUSZ ZIELIŃSKI

## ZŁOTA CZASZKA

Tam, gdzie ostatnia mroczy się piwnica w miejscu warszawskim, tam moja granica, tam jest mój kres.

Aniołom krwawym zdano straż przed wiekiem nad wieńcem z kości świecących człowieka, lunarią błędną jak ogień na bagnie. Zdobądź się, zdobądź, przechodniu połomny, na płacz i ogień, na zemstę i pomnik — nie to, to będzie nie to.

Zniebązłapanie nasze. Tułaj mrok niewzruszony, święty Jan katedralny bije w podziemne dzwony, do oczu niewidzących przykładą krew jak plaster. W mury szaleństwo tchnięło. Wicher kuli. Na kamieniu kamień chciał przywarować, świadectwo dać pokoleniu, „nie będzie Niemiec...“ zmówić chciał krótko jak modlitwę.

Akurat wtedy wypadło pójść z głuchym sercem w bitwę!

Więc to było powstanie, skrót treści, która wynika z gorącej białooczerwieni po prostu niby muzyka dla spragnionych nad miarę. Wysoko nad głową bomby kwiliły chmarą uparcie i od nowa, zwyczajnie jak we wrześniu. Winograd się skradła po skórze poparzonej, by mogła zagłada opleść cię w wawrzyn czarny, splowiła polichromio. O żołnierzu, co ledwo umiał władać bronią powiedziano, że twierdza. Czy zechcesz uwierzyć: jam wtedy lekkomyślnie bijąc się — już nie żył i widziałem w świetności przez śmierć zasłone śpiące cicho pod gruzem lilijowe neony.

Moja jest złota czaszka w lochu na trzy piętra w głębi skryta, gdzie świeci się, jak lampa święta nad morzem krwi przelanej. Bulgocą piwnice w najbardziej zatwardziałej w obronie dzielnicy staromiejskiej. Osłępiło, zaropiało słońce, rozprysk bomby, cios w oczy zbyt prowokujące i — reszta kanałami niech w bój się przekrada...

Złoto i kość. O, schyl się. Z ran mnie wypowiadaj.



czono, i tak w kilka dni później zjawili się wysiannicy kompanii naftowych z Berlina do prof. Pilata, niepośledniego znawcy technologii nafty i gazów ziemnych, eksperta w światowej skali.

Są dowody, że oprawcy przywieźli z sobą gotowy spis ofiar. Lista musiała być ułożona jeszcze w latach 1938—1939, bo gestapowcy szukali m. in. dwu uczonych, zmarłych w latach między 1939 a 1941: prof. Leszczyńskiego (dermatologa) i prof. Bednarskiego (oftalmologa). W obu wypadkach żądano od żon dowodów zgonu poszukiwanych.

Wyrwano kwiat nauki i literatury. Koryfeuszów wiedzy. Każde prawie nazwisko z tej listy figuruje na dziesiątkach prac naukowych, oznacza odkrycia, określa teorie, jest ozdobą akademii naukowych, pierwszych w świecie towarzystw, uświetnione jest laurem międzynarodowych nagród, wyróżnień i odznaczeń. Wecni Krzyżacy niszczyli, jak niegdyś Kaszubów w Gdańsku, lwowian uczonych dlatego, „że nie byli Niemcami lecz Słowianami, Polakami. To jedno było dostateczne, by poprowadzić ich na śmierć” — konkluduje Włodzimierz Bielajew, członek Związku Pisarzy Radzieckich, który zestawił księgę poświęconą „Męczeństwu uczonych jednego miasta”.

#### STRASZNY CZAS

W okresie niemieckiej okupacji niszczało we Lwowie około 70 przedstawicieli nauki, literatury i sztuki, albo wprost zgładzonych albo też wpędzonych w warunki, które ich przyprawiły o zgubę. Pediatra prof. Stanisław Progulski, siwowłosej, pełen zasług uczonej, był w obozie śmierci celem, do którego strzelała żona gestapowca. 75-letniego prof. Maurycego Allerhanda zabrano wraz z żoną na kłeparskie wzgórze, gdzie oboje zostali rozstrzelani. Halina Górska aresztowana we wrześniu 1941, więziona w ciągu długich miesięcy na Łąckiego. W czerwcu 1942 rozstrzelana „na Piaskach”. Docent Andrzej Piasecki, założyciel doświadczalnej stacji leśnej pod Janowem, rozstrzelany bez sądu, po dłuższym przebywaniu w więzieniu. Docent Gustaw Taubenschlag wywieziony do Bełżca, toż samo Aleksander Dan przy likwidacji ghetta 1943.

Starego i schorowanego Adolfa Becka przechowywano wprzód w domku stróża miejskiej kanalizacji, nad Peltwią (stróżem był Wacław Mejbbaum), potem w szpitalu dostał dawkę cjanalki z rąk własnego syna, docenta. Eddyp nie wiedział, że zabija ojca, a wyrodne córki tylko wyganiały na chłód ślepego króla Leara. Nieszczęsny syn zostawał parrycyda, by oszczędzić sędziemu ojcu męczarni w gazowych kamerach bełżeckich, z których wypadali zważy ciała splątanych, zlanych posoką i kałem. Były wśród nich matki, które na nieprzeciętą pepowinach wlokły za sobą niemowlęta, urodzone w ostatniej podróży. Prof. Kazimierz Kolbuszewski zmarł w Majdanku za ratowanie swej asystentki, Żydówki. W Majdanku zginęła Helena Polackówna Patriotyczne sumienie kazało pracownicy naukowej, która całe życie spędziła wśród książek, w ciszy archiwum, dać schronienie drukarni podziemnej gazetki A K.

Tragedia inteligencji Lwowa przekraczała wszelką miarę. Etnolog Adam Fischer pracował w tartaku, — skoszony zapaleniem płuc i niedzą. Romanista Zygmunt Czerny, znakomity Stefan Banach, prof. Bolesław Jałowcy (poźniej zamordowany przez szaszyzowanego Ukraińca) — karmili wszy Dla żołnierzy Wehrmachtu trzeba było przeciwtyfoidalnej waksy. Immunizacja jednego człowieka na przeciąg 2—3 lat przeciw tyfusowi plamistemu wymagała karmienia 250 wszy.

Stefana Banacha ujęto i sprowadzono do Arbeitsamtu. Niemiec przeglądał jego dokumenty:

— Pan pojedzie do Ruhry, do kopalni. Będzie pan tam górnikiem. Ale daję panu wybór. Potrzebni są ludzie do karmienia wszy. Bardzo zaszczytna praca. Ochronia zdrowie niemieckiej armii.

Około dwu tysięcy inteligencji Lwowa karmiło swą krwią niemieckie wszy.

Płynęły ponure dni. Niszczona żywa masa narodu. Wielki gmach przy ulicy Łąckiego wciąż zmieniał mieszkańców i wciąż pełny był więźniów. W ghetcie dopełniał się los dziesiątków tysięcy, nieodwołalnie skazaných na śmierć. W obozach szalał żbir, głód i tyfus.

„Do dzisiejszego dnia nie mogę bez dreszczu wspominać tego strasznego czasu” — mówił profesor teoretycznej mechaniki, znany wielu uczonym ze swych prac naukowych, również karmiciel wszy. „Bez przesady mogę powiedzieć: z każdym świtaniem umierałem. Jedynym wytchnieniem w naszym życiu był sen. Te liczone godziny, kiedy każdy z nas zmęczony i poderwany ohydą pracą naszą, przenosił się w daleki świat zainteresowań naukowych, który zapadł się w przeszłość, przestał dla nas istnieć z przyjściem Niemców”.

#### TAM GDZIE SŁOŃCE ZACHODZI

Radziecki pisarz Włodzimierz Bielajew żywi pragnienie, aby Zachód dowiedział się o gehennie uczonych Lwowa. Popieramy go w tym z całej duszy. W Anglii i Ameryce wciąż jeszcze nie wierzą. „Idealisci”, którzy nie znali Niemców na własnej skórze, uzbrojeni są w krytycyzm i zatykają uszy przed greuel-propagandą.

Idealizm w ogóle mruży oczy przed prawdą.

Józef Sieradzki

TADEUSZ DOBROWOLSKI

# O planowe badanie sztuki polskiej

Sztuka polska za granicą jest prawie nieznana. Francja i Włochy obfitujące w pomniki wspaniałej sztuki własnej, nie interesują się prawie zupełnie sztuką peryferycznych kręgów kulturalnych, do jakich musi się zaliczyć między innymi także Polskę. Nauka niemiecka wykazywała wprawdzie pewną aktywność w badaniach nad sztuką polską, ale ze zrozumiałych pobudek zajmowała się albo dziełami artystów niemieckich wykonywanymi w Polsce lub dla Polski, albo prawie wszystko, co w dziedzinie sztuki u nas powstało, przypisywała kulturze niemieckiej uogólniając i przeceniając fakt kolonizacji oraz bezpośrednie sąsiedztwo Polski z Niemcami. Doszło w końcu do tego, że nawet nasze budownictwo drewniane nauka ta łączyła z rzekomym wpływem kultury germańskiej. Zdaniem profesora uniwersytetu wrocławskiego, Dagoberta Freya, a zwłaszcza konserwatora prowincji dolnośląskiej, Günthera Grundmanna, cała spuścizna artystyczna przetrwała np. na Śląsku, była dziełem niemieckich rąk i niemieckiego ducha. Nawet śląskie kościoły drewniane, których zasięg ograniczony do Górnego Śląska pokrywa się ściśle z zasięgiem żywołu polskiego, uważa taki Grundmann za przejaw kultury rdzennie niemieckiej. Nie przeszkadza mu w formułowaniu „patriotycznych” poglądów ani bezsporna łączność tego budownictwa z tradycyjną cioską polską, szerzej słowiańską, sięgającą epoki wczesno- i przedhistorycznej (że przypomni odkrycia dokonane w Biskupinie, Opolu, Santoku, Kłecku, Gnieźnie, Wołyniu itd.), ani brak w Niemczech budowli podobnych, ani wielokrotnie udowodniony pewnik, iż każdy naród posiada swą sztukę. W rozumieniu Niemców Polska byłaby zatem zjawiskiem dziwnym i zgoła wyjątkowym w obrębie narodów, skoro niemal cały jej dorobek artystyczny można przypisać twórczości duchowi germańskiemu, skoro sama niczego nie stworzyła.

Zapewne, wypowiedzi nauki niemieckiej na temat sztuki polskiej noszą nierzadko charakter tak gargantuicznej bzdury, że można by nad nimi przejść po prostu do porządku dziennego, gdyby nie okoliczność, że: Zachód był informowany o sztuce polskiej przeważnie za pośrednictwem niemieckim, następnie, że i u nas dochodziło do przesady w ocenie wpływów niemieckich, czego dowodem jest choćby kierunek badań „szkoły krakowskiej”. Polską historię sztuki obciążają niewątpliwie dwa grzechy główne: pierwszy, to zbyt skrupulatne i ultraojjalne tropienie w naszej sztuce wpływów obcych (słynna „wpływołogia”), drugi, to raczej obojętny stosunek do rodzimych przejawów sztuki, nacechowany jak gdyby pewnym zażenowaniem wobec różnic jakościowych dzielących tę sztukę od zachodniej. W rezultacie dotychczasowe wyniki polskiej historii sztuki streszczają się w tym, że wiemy, co wykonali w Polsce włoscy architekci

i rzeźbiarze, co zawdzięcza polska rzeźba gotycka warsztatowi niemieckim, jaki jest stosunek polskiej produkcji artystycznej do odległych ognisk kulturalnych Włoch i Francji, słowem, jak się przedstawia zagadnienie recepcji, — nie wiemy natomiast dokładniej, jak wygląda sztuka wytwarzana w kraju rękoma polskimi. Do tej pory nie zdołaliśmy też sformułować jasnego poglądu na kwestię przeobrażenia form przeszczepionych, w duchu własnym. Bo, od razu należy przypomnieć, że żadna kultura nie powstaje w warunkach izolacji, że zawsze wchodzi w grę wzajemna wymiana czy dziedziczenie wartości, wobec czego nasuwa się konieczność ustalenia, czy i w jakiej mierze elementy nabyte przystępowały w warunkach nowych, następnie, w jakim stopniu ulegają asymilacji, a nawet resorbacji w obrębie narodowego organizmu, — czy wreszcie stają się one zarzewiem budzenia się wartości oryginalnych i własnych.

Ponieważ na te pytania nie znaleźliśmy odpowiedzi do dzisiaj, nie powinna nas dziwić obojętność obcych w stosunku do naszej kultury plastycznej, tych obcych, którzy sztukę polską uważają za błąd refleks wielkiej sztuki Zachodu, a tylko wyjątkowo, kiedy zaczynają obcować z nią z bliską w czasie swego pobytu w Polsce, dostrzegają w niej osobliwe i niepokojące rysy, jakiś swoisty klimat, który ich zdaniem stanowi produkt psychiki, kojarzącej właściwości zachodnie ze wschodnimi. We wnętrzach naszych kościołów gotyckich skupiających wielowiekowe nawiązania wyczuwają szczególny gatunek egzaltacji, wyrażonej w polifonicznych zestrojach formalno-barwnych, spotegowanych współczynnikiem złota. Rzeczą naszej nauki będzie skontrolowanie, czy wrażenia tego typu znajdują uzasadnienie w realnym układzie jakości.

Naukę naszą w zakresie historii sztuki cechowała dotychczas bezplanowość, jaka była wynikiem następujących okoliczności: braku ustalonego programu badań, braku ich koordynacji oraz przewagi poczynań indywidualnych, zacieśnionych na ogół do problemów fragmentarycznych. Opracowywało się przeważnie poszczególne zabytki, które z czasem miały się scalać w obraz całości, do czego jednakże nie doszło. Badania takie prowadzą tylko do wykrycia zależności zabytków od sztuki obcej, do ustalania filiacji stylistycznych, ale nie mogą doprowadzić do sprecyzowania cech odrębnych naszej sztuki, bo to stadium badań wymaga znajomości całego materiału zabytkowego. Żeby np. ustalić specyficzne rysy najwcześniejszej ceglanej architektury polskiej XIII w., trzeba operować całym odnośnym materiałem zabytkowym i szukać cech wspólnych zabytkom, bo suma tych cech będzie dopiero rozstrzygała o rodzimym charakterze zespołu. Wówczas bowiem okaże się jasno, jakie właściwości łączy to budow-

nictwo z budownictwem obcym, a jakie je odróżniają od niego. W ten sposób trzeba postępować kolejno ze wszystkimi grupami przedmiotów sztuki. Podstawą takiej pracy musi być inwentarz topograficzny zabytków, który posiadają niemal wszystkie narody Europy z wyjątkiem Polski. Boć, żeby prowadzić badania nad pewnym tematem ogólnym, trzeba naprzód ustalić, gdzie szukać potrzebnych materiałów. Jest rzeczą oczywistą, że sporządzenie inwentarza wymaga uruchomienia pracy zbiorowej, bo żaden indywidualny wysiłek tak olbrzymiemu zadaniu nie sprosta.

Zorganizowanie badań zespołowych nad historią polskiej sztuki jest koniecznością, gdyż bez tego nie poznamy jej nigdy. Poznanie jej utrudniają przy tym tragiczne rezultaty ustawicznych wojen przetaczających się przez nasze ziemie z ponurą prawidłowością. Już dzisiaj pewnych zaniedbań naprawić się nie da, ponieważ wiele niezbadanych do tej pory pomników naszej sztuki zmioła z powierzchni ziemi ostatnia wojna. Należy przypuścić, że do nowej wojny dojdzie nie przedko, ale „na wszelki wypadek” musimy dążyć do jak najszybszej rejestracji naszej sztuki, do wykonania jej zdjęć fotograficznych a w odniesieniu do architektury także pomiarowych. Ponieważ jednak opracowanie inwentarza musi zabrać w najlepszym wypadku kilkanaście lat pracy, trzeba inwentarz poprzedzić przynajmniej katalogiem zabytków, który by nas zorientował jako tako w naszym stanie posiadania.

Pewne postulaty polskiej historii sztuki rodzą się jak gdyby spontanicznie, kiedy obserwuje się dzisiejsze życie będące często wykładnikiem skłonności człowieka do działania po linii najmniejszego oporu. W dziedzinie historii sztuki znowu zaczyna kwitnąć „przyczynkarstwo”, znowu przedmiotem badań staje się działalność artystów obcych. Odwrót od nieodrobionej tradycji będzie się mógł rozpocząć z chwilą ustalenia programu badań i skupienia odpowiednich pracowników naukowych. Na temat programu autor tego artykułu prowadził wyczerpujące rozmowy ze Stanisławem Lorentzem, dyrektorem Muzeum Narodowego w Warszawie, z Ksawerym Piwockim, dyrektorem Instytutu Sztuki, z Józefem Dutkiewiczem, inspektorem muzeów w Ministerstwie Kultury i Sztuki, oraz Jerzym Szablowskim, kierownikiem Centralnego Biura Inwentaryzacji. W rozmowach tych wysunięto szereg spraw, zasługujących na natychmiastowe zbadanie, które pomnożone propozycjami autora można by ująć w następujące hasła: Drewniane budownictwo przed- i wczesnohistoryczne. Kościoły drewniane w Polsce, Architektura i rzeźba romańska w Polsce, (np. rotundy polskie, Wrocław a Strzelno, katedry romańskie, architektura cysterska), Architektura gotycka (budownictwo zakonów żebrzących XIII w., katedry polskie, kościoły halowe itd.), Rzeźba gotycka, w szczególności nagrobki piastowskie na Śląsku, Początki polskiego malarstwa gotyckiego na Podkarpaciu, Najstarsza rzeźba drewniana, Attyki polskie, Późnorennesansowa architektura i jej gotyckie tradycje, Nagrobki rycerskie XVI i XVII w., Prowincjonalny barok polski, Rodzime malarstwo portretowe XVII i XVIII w., Malarstwo cechowe XVI i XVII w., Ornamenty ludowe, Sztuka polska jako wyraz starcia się Zachodu ze Wschodem. Tytuły te nie wyczerpują, rzecz oczywista, całości, ale informują wymownie, jak wiele jest u nas do zrobienia. Przyznać jednak trzeba, że wiele z tych tematów znajduje wcale mocną podbudowę w dotychczasowych badaniach. Nowością planowanych wypraw badawczych byłoby jednak zawsze ich kompletność oraz ich wygląd typograficzny, a w związku z tym ich przydatność naukowa. Chodziłoby bowiem o wydawnictwa typu albumowego z dużymi, pierwszorzędnie wykonanymi planszami, zgodnie z obecnymi wymogami sztuki.

Co do organizacji tych badań, najbardziej nadawałby się do tego celu założony już przy Naczelnej Dyrekcji Muzeów i Ochrony Zabytków Instytut Sztuki, który wolno uznać za bardzo poważne osiągnięcie w dziedzinie naszej kultury naukowej. W programie Instytutu leży dokonanie prac, bez których polska historia sztuki nigdy nie osiągnie rangi europejskiej. Instytut zajmie się zatem opracowaniem bibliografii historii sztuki, przygotowaniem wydawnictw słownikowych (jak słownika artystów polskich), katalogu i inwentarza zabytków oraz planowaniem i koordynacją badań nad sztuką polską z tym, że rezultaty tych badań będzie ogłaszał w osobnych publikacjach. Instytut podejmie również przedwojenne wydawnictwo kwartalnika „Biuletyn Historii Sztuki i Kultury”, w którym będzie informował o bieżących badaniach nad sztuką. Jeśli program Instytutu uda się zrealizować, wiedza o sztuce polskiej wkroczy na właściwe tory i doprowadzi do stworzenia syntezy, która w naukach humanistycznych stanowi najwyższe koronę dzieła i najlepszy sprawdzian wyników pracy badawczej

TADEUSZ RÓŻEWICZ

## Listopad 1944

Pożółkły ostatnie liście,  
w mgłach lasy o świcie  
stały. Dzieciół w czerwony  
buk kul. Szron melował  
na szybie pierwszy srebrny  
liść. Płomień piał jak kur.

Sypały brzozy złote dreszcze,  
rosa leżała na zwarzonych trawach,  
na stawie krzyk dzikich gęsi,  
chrzęściły wyschłe do szpiku trzciny.  
Pieśni partyzanckie, mocne głosy,  
niebo w jodłach słotne i nagłe jak oczy.

Gwiazdy. Ognie chłodniejsze były i rude,  
dymu warkocz smutniejszy o jesień,  
samoloty odpływały na wschód,  
dudniły. Czarne z białym krzyżem.  
Trzeba ognie tłumić i oddech w piersi.  
Wschodził nad obozem mrok.

W szalaszach i namiotach wiatr  
gwarzy i sepleni. Patefon.  
Płyta wiruje jak ziemia. Gra.  
Długo jeszcze mamy tak trwać?  
Było lato. Wabił nas głos  
łśniących jak foki dyplomatów.

Nad Tamizą teraz mleczne mgły...  
Karabiny stoją rude od rdzy,  
I rzeźba czyścić broń. Konie rżę.  
Niemcy pod bokiem spalili wieś.  
Uciekinierzy: w oczach groza i ryk.  
Czekać na rozkaz. Z Londynu?

Z Londynu murzyn śpiewa przez nos,  
łanczna muzyka: jazz i slowfox,  
egzotyczny gość w polskich lasach.  
Nagle melodia! wojenka, wojenka.  
Przygotować światła — w nocy zrzut.  
Z tych nów wyczytał spec.

Z plejady gwiazd ten szum,  
dwie gwiazdy lecą: czerwone —  
samolot upada jak ła. —  
W spadochronie z nocy: skoczek.  
Chłopcy biegną! Udzielić pomocy!  
Biedny człowiek odarty ze skrzydeł.

Liść pod nogami syczy wąż,  
brała mojego krzyżując. Wiem.  
Po szalaszach zawodzi wiatr,  
amunicja dzwoni w chlebaku.  
Granat jest ciężki jak gniew.  
Posłuszny. Na rozkaz czekam.

Dąb wawrzyny ciska pod stopy.  
Ojca wczoraj spalili siwego,  
i gołębie dwa białe w gołębniku.  
Z zagrody snuł się dym,  
został popiół...  
...milczy nasza broń.

Granaty eksplodują w snach,  
deszcz tętni w brezent namiotu.  
Szept to krzyk. Nocą. Dłonie drapieżnik  
powietrze zdusiły za gardziel.  
Mordują człowieka. Z bronią u nogi  
czekam... na rozkaz z...

Jak koła na wodzie ta droga,  
obląkany rozkazem maszeruje oddział,  
noce strzeżone przez reflektory,  
nad nocami strażnice — czujne  
żurawie sprawują warłę. Krążymy  
po widnokręgach wojny. Spętani.

Marsze, które nie prowadzą. Dokąd?  
Bose marsze. Krople rosy. O świcie:  
Kukułka czarna jak daleki bór  
wykukala pragnącemu — śmierć.  
Pole zjęte... na polu chwały...  
...gnieje plon.

1945 r.

Tadeusz Dobrowolski



BOGDAN BUTRYŃCZUK

# Na gruzach „Trzeciej Rzeszy“

## ETHOS GERMANICA

Jeden z angielskich komentatorów wojennych stwierdził, że autostrady niemieckie uławiały szybki pochód zmotoryzowanych wojsk sprzymierzonych. Rzucone w teren nie omijają rzek ani lasów, ani gór, biegną dziesiątkami kilometrów, w poszumie starych drzew, chłonną echo jak szczęście codzienności, pną się na wysokości przekraczające półtora tysiąca metrów nie serpentynami, ale pod dość nawet stromym kątem, i prosto staczają się w dół do równin i dolin nadrzecznych.

Po kilkunastu minutach jesteśmy w Hann-Münden, gdzie z powodu zerwania autostrady na Fuldzie musimy zjechać w bok i przejechać przez most pontonowy. Wąskie ulice miasteczka o domach przypominających ule, wydają się równie zmęczone i chude jak postacie mieszkańców. Podobno Niemcy są pedantycznie dokładni, toteż nic dziwnego, że z pedantyczną dokładnością placą swoje długie.

W lesie, za miasteczkiem, wracamy na autostradę. Mijamy amerykańską kolumnę transportową, ściana lasu roztopia się w rozgrzanej słońcem przestrzeni pol, wreszcie za jakimś zakrętem dostrzegamy nabierający w miarę zbliżania się wrzód wielkiego miasta. Umiejscawiam je w prawo od autostrady i z daleka już dostrzegam nienormalność. Wzrok mój przechodzi po wierzchołkach fabrycznych kominów... Komin bez dymu.

Jesteśmy przy zjeździe z autostrady w kierunku Kassel. Żegnając towarzysza wziętego udręką serca do Burg i wolno podążam w stronę miasta. Asfalt paruje zapachem smoły. Jest upalne, lipcowe południe. Niemcy uginają karki w nieszczerym pozdrowieniu, Niemki natomiast uśmiechają się szczerze i zapraszają. Czuję się zupełnie swobodnie i niemalże beztrudno. Angielski mundur wojskowy i znajomość języka angielskiego zapewniają pomoc władz okupacyjnych, a oprócz tego wiem, że w Kassel znajduje się grupa około 2.000 Polaków, jak zresztą w każdym niemal wielkim mieście. Przed trzema miesiącami zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że nie było w Niemczech obszaru o powierzchni 20 km<sup>2</sup>, zamieszkanego przez ludzi, gdzie nie znalazłby się Polak. Przy szosie drzewa ciężarne dojrzewającymi owocami ofiarowują cień. Myśl moja oddala się od rzeczywistości, by odbiec w słoneczne lipce polskich wspomnień. Znowu jakieś skojarzenie, które po chwili konkretyzuję: Niemcy są obecnie narodem kobiet, dzieci i starców. Jakby dla zaprzeczenia, mijają mnie dwudziestoparoletni brudny i wynędzniały żołnierz niemiecki powracający z niewoli. W oczach... ale nie warto o tym... Natomiast muszę sprostować pewien przesąd literacki, każący twórcom dzieła sztuki odczytywać w oczach wygnañców skazanych na własne siły nadwątzone jeszcze wysiłkiem fizycznym i może głodem — wyraz rezygnacji, żalu, tęsknoty, desperacji, słowem uczuć prowadzących nieuchronnie do śmierci. Muszę zaprzeczyć, bowiem widziałem ludzi, tak potwornie zmęczonych, że wyrok śmierci nie byłby w stanie ich wzruszyć, a ostatnim życzeniem byłyby dla nich bezsprzeczne sen. U Niemców ów wyraz rezygnacji wywołany jest raczej niedożywieniem spowodowanym przez hitlerowski system gospodarczy, za którym długo jeszcze będą płacić kosztem własnych żołdaków. Tym niemniej, wobec niezaprzeczone bogatej tradycji, jaką posiada myśl niemiecka, zagadką wydaje się fakt, że żadna Niemka nie ceni swej cnoty wyżej ceny 2 uncji czekolady, czy sproszkowanej amerykańskiej kawy, a były ponoć wypadki, gdzie Niemiec za wymienioną cenę oddawał na nocleg łóżko wraz z małżonką. Cytuję w myśli: „Wojna nie jest szkołą świętości... jest szkołą zła... Ale najdziwniejsze jest to, że Niemcy upadają się bez poczucia własnej podłości, w innym wprawdzie aspekcie, ale w ten sam sposób, jak to czynili w państwach przez siebie okupowanych, jak to czynili w Oświęcimiu, Dachau, Buchenwald. Z tym samym uśmiechem bałwochwalczego zachwytu, z jakim oddawały się Niemki przed paroma miesiącami czarowi słowa geniusza swej rasy, Führera, dziś oddają się Murzynom; ten sam jad nienawiści, jakim Niemcy opluwali wrogów swego narodu, dziś skierowali przeciw tym, którzy ich przywiedli do klęski. Trzeba być tam, w Niemczech, aby pojąć ogrom ich upadku; ale również trzeba tam być, aby zrozumieć, że na razie nie można ich żałować, ani przebaczyć. „Bowiem ci tylko przebaczenia dostąpią, którzy okażą skruchę...“ — to słuszne. Niemcy nie tylko że nie żałują, ale nie przyznają się do swych win. To nie my, to oni. Oni to — nazi. A w pociągu, czy na dworcu, czy przy łada okazji nieszczęśliwy, cierpiący przeciwnik hitlerizmu przymila się o pierośca i mówi:

— Tak, Polacy są dzielnym, bohaterskim, kulturalnym narodem. Anglicy również.

A Amerykanie? Co za technika, co za cywilizacja! Ale... — i dodaje fałszywie, przymilając, zdradziecko — „Aber, wissen Sie, Juden... nie wie jak to wykrzusić — było dobrze, demokratycznie, nie po hitlerow-

sku... — aber die Juden, wissen Sie, das ist kein Volk.

To jest, że tak powiem, „od podszewki“. A oficjalnie?

Rozkazem do wojsk sprzymierzonych w angielskiej i amerykańskiej strefie okupacyjnej z połowy lipca gen. Dwight Eisenhower cofnął swój zakaz „bratańia się“ z Niemcami.

To brzmi nawet bardzo oficjalnie. A nieoficjalnie?

Na tle obecnej „Ethos Germanica“ rozkaz ten należy zaliczyć do gatunku tych, które regulują ceny produktów spożywczych lub zwalczają pokątny handel. W praktyce odnosi się on do Niemców płci żeńskiej i choć nie jestem ekonomistą, wiem, że przy zwiększonej konkurencji ceny spadają. Wiem również, że teraz już Niemki nie muszą sprzedawać swej cnoty na „czarnym rynku“, ale mogą nią dysponować w miarę popytu dowolnie, bez obawy „Rassenschande“, a co za tym idzie, zmiany miejsca zamieszkania na obóz w Ravensbrück. I korzystają z tego, jak korzysta się z wszelkich dobrodziejstw ofiarowanych na pozór darmo.

## „A NEAT JOB“

Ponoć ruiny sprzyjają kontemplacjom, jednakże ja otrząsam się z rozmyślań wśród zgłiszcz półmilionowego niegdyś miasta Kassel. Rozglądam się dokoła i nie mogę odnaleźć całego budynku. Sięgam pamięcią do komunikatów wojennych, informujących o zdołaniu tego miasta. O ile pamiętam, padło bez godnych uwagi walk. Zresztą duży most, jeden z nielicznych w Niemczech nienaruszony, zdaje się to potwierdzać. A więc naloty? Idę dalej, wśród ruin, wśród samych ruin. Jakiś plac... Ach, prawda, zardzewiała tablica na ścianie budynku zburzonego od tyłu i wypalonego podaje treściwą nazwę: „Theaterplatz“.

Powinien więc być i teatr. Był. Na środku placu statua Melpomeny. Obok rozduszony pajak — czołg. Idę, ciągle idę, i ciągle ruiny nieprzyzwyczajone obnażone, odarte ze skóry mięso murów, puste, wypalone oczodoły dawnych okien i drzwi. Ile nalotów musiało przeżyć to miasto?

Żołnierz amerykański fotografuje kolegę na tle ruin. W przejściu pozdrawia mnie swoim przeciągłym: „Hallo“, a potem zatacza dokoła ramieniem i mówi z uśmiechem: „It's a neat job!“

O, tak, to można śmiało nazwać „neat job“, czysta robota, powiedziałbym nawet: koronkowa. Więc gdzie u licha — zapyta ktoś — mieszkają tam ludzie?

Sądcę, że każdy Warszawianin potrafi odpowiedzieć na to pytanie. Nie pragnę sugerować, że wielkie miasta niemieckie są bardziej zniszczone, niż Warszawa, ale wygląd ich nie różni się zbytnio od wyglądu naszej stolicy.

Godzinę z górą trwał mój marsz wśród gruzów nim dotarłem do Irrigendshäuseralee, położonej w wilgotnej dzielnicy miasta, stosunkowo mniej zniszczonej, gdzie zajmował mieszkanie znajomy mego kolegi, Polak, robotnik fabryczny wywieziony przez Niemców przymusowo z Piotrkowa jeszcze w 1941 roku. Przyjął mnie tak jak Polak przyjmując rodaka za granicą. Staram się utrzymać na powierzchni słów bezustannych i niepotrzebnych.

— Był pan przez cały czas w Kassel?

W odpowiedzi wezbrana rzeka słów, cała martyrologia wygnańca... — Tak, od czterech lat... praca... szczykany...

— A jak długo trwało niszczenie miasta? — wskazuje kupę cegieł, ogrodzoną parkanem, widoczną przez okno.

— Niecałe trzy kwadransy. No, tak, to był jeden nalot w październiku 1943 r., trwający dokładnie 43 minuty i zostawił miasto w takim stanie, jak pan widzi, oraz ponad 45.000 trupów. Później były jeszcze od czasu do czasu naloty nekające, ale raczej dla strachu.

A więc jeden 43-minutowy nalot. A więc krwawa czerwień cegieł wyblakła już, ponieważ zmyły ją deszcze dwu jesieni i wypaliły słońca dwu lat.

Tak, to się nazywa: „a neat job“.

## POD OKUPACJĄ

Chociaż niektórzy uważają za cnotę drobniagowe wylizywanie okrucichów z papierka po bułce z margaryną i skrupulatne składanie tego papierka we zworo, aby z nie mniejszym pieczytym włożyć go do kieszonki i kamizelki, mnie jednakże zawsze mierzyły podobne obrazki do tego stopnia, że spotykając je w Niemczech, zastanawiałem się nad ich przyczyną. Rozmyślenia te sprowadzały mnie zwykle na manowce psychologizmu, lecz równocześnie pozwalały zapamiętywać szczegóły zdawałoby się nieważne i mało znaczące, jednak niezwykle cenne dla charakterystyki poszczególnych płaszczyzn życia dzisiejszych Niemców.

Dzień 8 maja stanowiący datę kapitulacji „Trzeciej Rzeszy“ rozpoczyna w całej Europie nową epokę nie tylko kalendarzową; dla Narodów Sprzymierzonych epokę zwycięstwa, dla Niemiec — klęski.

Gdy u nas śpiewa się hymny zwycięstwa, opracowuje plany mające ująć w skoordynowane ramy najwyższych osiągnięć całość wy-

silkę twórczego, tam krążą już bardowie klęski, przepowiadający głód i śmierć milionów. Tego żaden socjolog nie może zapomnieć. Wojna zabiła miliony, a zima ta, którą dywizje SS trzykrotnie usiłowały zwyciężyć na wschodzie — dokończy dzieła. Niemcy były samowystarczalne dzięki „ersatzom“ — dziś wiele fabryk leży w gruzach. Nie ma surowców, zakłady energetyczne w znacznej części również zniszczone, brak szyb, opału, jedzenia, i co najważniejsze... nie ma już wojny, a więc żadnej nadziei. Zresztą, żeby mieć nadzieję, należy wpieryć mieć wyobraźnię. Niemcy jej nie mają. Na tym tle zarysowuje się dalszy problem aktualny i niezwykle ważny: stosunku do poszczególnych władz okupacyjnych.

Rozpocznie dowolnym opisem powszedniej codzienności. Mimo że nie ma granicy między strefami angielską i amerykańską, różnica narzuca się natychmiast. Różnica nieuchwytna, bo przecież administracja w obu strefach jest jednak, określiłbym ją różnicą moralną, taką samą, jaka istnieje między Europejczykiem a Amerykaninem, między Europą a Ameryką. Okupacyjne władze angielskie nadały Niemcom formę organizacyjną niedwuznaczną. Rozkazami uwidoczniły co im wolno, a czego nie można, a przede wszystkim uruchomiły całą administrację szybko i sprawnie. Na strazy porządku postawiły żołnierza armii królewskiej. Niemcy cenią i chwają sobie ten stan.

Amerykanie natomiast mimo liberalizmu w stosunku do ludności, a może właśnie przez to, dają powod do narzekania tubylców. Niemcy nie potrafią chodzić „samopas“, uważają okupację amerykańską za złą.

Pozwolę sobie sparafrazować utarty slogan: „Życie nie jest sielanką“. Amerykanie robią z życia właśnie sielankę. Nie można powiedzieć, że żołnierz amerykański stoi na strazy porządku — jest na to zbyt wygodny. Po prostu siedzi na krześle, leniwie rozwalony i niesamowicie znużony. W pensję strzelca wynoszącą 300 dolarów miesięcznie nie wchodzi widocznie forsowne używanie nóg, ponieważ nawet rozprawianie posterunków odbywa się samochodami. Żołnierz amerykański przejechał Atlantyk i to mu się musi opłacać. Urządził więc sobie okupację Niemiec na podobieństwo „week endu“ przynoszącego prócz orderów znaczny dochód.

Moc robotników amerykańskich, a może nawet bezrobotnych wróci z Europy z kapitałem w banku pozwalającym im wieść dalszy żywot w charakterze „bourgeois“. Dodam, że 300 dolarów, to żołąd strzelca, poza pełnym, luksusowym wyżywieniem w olbrzymiej części w sposób beznadziejnie niszczeni.

Pamiętam wywody pewnego amerykańskiego Polaka na ten temat.

— Wiecie, — mówił — co ja im nawymyślałem i natłumaczyłem, ile pieniędzy, pracy i wysiłku mięśni i maszyn kosztuje wyprodukowanie i dostarczenie do Europy jednodniowej racji żywnościowej, a taki Amerykanin otworzy np. puszkę sera, ugryzie i wyrzuci.

Nie będę obliczał, ile zaoszczędziłby skarb USA zmniejszając wojsku, choćby tylko w nieznaczącej części racje dzienne, ale muszę stwierdzić, że ów przypadkiem spotkany rozmówca, urodzony w Stanach Zjednoczonych, odziedziczył po swych przodkach, bezrolnych wieśniakach spod Rzeszowa, sporo cech polskiego ludu ze zdrowym rozsądkiem włącznie.

Nie trzeba zbyt bystrego obserwatora, aby zauważyć różnicę między człowiekiem chowającym papier po śniadaniu, a wyrzucającym pół konserwy. Ten pierwszy zawsze będzie uważał tego drugiego za zbrodniarza. I jeszcze jedno: Amerykanin niczego (za wyjątkiem dolara) nie bierze serio, poważnie. Europa nie przedstawia dla niego żadnej wartości. Do Ameryki — jako sui generis curiosum — przewieźć jej nie można, a Europejczycy są czymś w rodzaju nieszczęśliwych jogów utrudniających sobie żywot problemami wymyślonymi przez siebie. A Niemcy?

Ci dla nich — indywidualnie rzecz biorąc — nie istnieją. Interesujące mogą być tylko Niemki.

Idę wolno ulicami miast, które posiadają tylko ulice. Kassel, Hanau, Frankfurt nad Menem... Budynek pozostałe przy życiu nasuwają myśl, że uratowały się kosztem tych, które zginęły. Fulda, Würzburg, Norymberga, Monachium... Historia zapisała im jeszcze jedną datę.

Nadrenia... Nie, stanowczo nie ma sensu się powtarzać. Wino? Owszem, tanie. 3 marki butelka. Interesuje cię gotycki tum w Kolonii? Spóźniłeś się, bracie. Nawet gdyby nie wybudowano przy nim dworca kolejowego, nie zostałoby nic prócz fundamentów skrzętnie przyspanych gotyckimi gruzami. Düsseldorf, Osnabrück, Münster, Brema, Hannover, Brunswick, Lubeka... nie, przepraszam, jedna, jedyna Lubeka, której dachy prócz kominów mają na białym tle znaki Czerwonego Krzyża, stoi w słońcu, zieleni i bieli szpitalnej. Jedyne otwarte miasto, miasto szpitali.

Idzie zmierzchn. Na gruzach „Trzeciej Rzeszy“ kwitnie niezdrowy kwiat plątaniny miłości. Jakże wyda owoc? Bogdan Butryńczuk

Do niedawna jeszcze zanim turysta przekroczył granicę Niemiec, a nawet nim zaopatrzył się w bilet i dokumenty upoważniające go do tego, kupował Baedekera — uniwersalny przewodnik po Niemczech. Dziś cudzoziemiec posiada przepustkę wydaną przez „Military Gouvernement“ tj. urząd „Town Majora“ — komendanta miasta, a Baedekera zastępują informacje o obozach, w których ojciec spodziewa się odnaleźć syna, syn matkę, brat siostrę. Nie muszą nadmienić, że Polacy podróżują najwięcej w istotnej przyczynie poszukiwania. Jeszcze przed paroma miesiącami szosy pełne były obywateli obu półkul: Brytyjczyków z całego świata i Amerykanów (naturalnie ci z obozów jeńców), którzy zresztą pierwsi i w doskonałych warunkach opuścili Niemcy; a przede wszystkim Polacy, Rosjanie, Serbowie, Włosi, następnie Francuzi, Czesi, Holendrzy, Belgowie, nawet Hiszpanie. Dziś pozostali w Niemczech tylko Polacy; ciągle szukają jedni rodzin, inni zagubionych dróg swego życia; ciągle czekają, jak dotychczas, jakiejś jesieni lub jakiejś wiosny — i wołają ciągle: „pomocy!“

Nie, stanowczo Baedeker stracił rację bytu — dodam, że stał się równie nieaktualny jak np. „Mein Kampf“.

## AUTOSTOP

— Dokąd się wybierasz? — pytam kolegę pakującego w chlebak przybory do golenia i zmianę bielizny.

— Burg...

Uśmiecham się złośliwie i dorzucam konwencjonalne: — jak?

— Autostopem, naturalnie...

Obie odpowiedzi oraz złośliwość mego uśmiechu wymagają wyjaśnienia.

Któż z byłych polskich jeńców wojennych nie zna, choćby tylko z opowiadań, owej Mekki Polaków w amerykańskiej strefie okupacyjnej? Burg — niemal chciałoby się zacząć: „za siedmioma górami... za siedmioma rzekami...“ w bajeczne serce lasu rzucona miejscowość, nie zanieczyszczona najmniejszymi śladami hitlerizmu. Burg — miejscowość zbudowana na dwu elementach konstrukcyjnych: natura to pierwsza, i drugi (jak każda się domyślać nazwa miasteczka) — historia. Otóż „historyczny“ związek Burgu z Polską posiada żywot krótki, bo nie przekraczający czterech miesięcy, a datuje się od maja br., to jest od chwili, w której miejscowość tę oddali Amerykanie kilku kompaniom Polek, b. jeńców wojennych, żołnierzom warszawskiego powstania, jako miejsce kondycyjnego urlopu po niewoli. (Podobną miejscowością w angielskiej strefie, czynną w rodzaju Medyny jest obóz Niederlangen nad granicą holenderską.) Mój złośliwy uśmiech nie oznaczał naturalnie nic złego, był po prostu namiastką satysfakcji w stosunku do kolegi, uśmiechem bez powodu, bo tam mało jest powodów do śmiechu.

Sądcę, że należałoby go odprowadzić. W niespełną godzinę jesteśmy w Getyndze. Dworzec, jak wszystkie dworce kolejowe, a nawet stacyjki w Niemczech środkowych i zachodnich — w proszku. Tłum ex-Herrenvolku, jak każdy tłum — złośliwie zuchwały. Wychodzimy z ruin dworca i ludzi. Miasto wyjątkowo niezniszczzone, gdzie niedługo jakaś wyrwa w murze, przy dworcu wypalony budynek pocztowy i dalej w mieście uszkodzona biblioteka uniwersytecka. Afisze informują przechodnia, że (nie pomnę już daty) wkrótce nastąpi otwarcie opery miejskiej „Weselem Figara“. Tu nie czuje się jeszcze owej charakterystycznej goryczy klęski — Getynga jest małym miastem. Dochodzimy do skrzyżowania ulic. Na tle olbrzymiej tablicy orientacyjnej rozpięta zielona sylwetka „szupowca“ z białą opaską na ramieniu. Semaforów ramion regulują ruch. Interesuje nas tablica, nie „szupowiec“. Jest. Deutsche Reichsautobahn — 4 km. Mijamy miasto; owe charakterystyczne dla niemieckich miast i miasteczek ogródki działkowe wyzyskane do maximum. Nowy wskaźnik i już ucho wyławia niestanny szmer motorów. Cały wojenny potencjał aliantów przewala się niemieckimi autostradami we wszystkich kierunkach. Konwoje pancerne i kolumny transportowe, duże i średnie „trucks“ i małe osobowe jippy zwane również „fazikami“ pełne i puste, ale wszystkie jednakowo szybkie. Amerykanin nie jeździ autostradą wolniej niż 70 km na godzinę. Stoimy na podwójnej taśmie autostrady wiodącej do Frankfurtu nad Menem, przy na przedce załatanej wyrwie w asfalcie, poprzedzonej tablicą z napisem: „Warning! Filled Crater“ W tym miejscu samochody zwalniają; na znak dłoni (a właściwie amerykańskim systemem — kciuka) zatrzymuje się samochód o dwu wolnych miejscach. Pytam dokąd jadą i czy mogą nas zabrać?

— Who are you? — wyciska poprzez gumę żutą bez przerwy/sofer — polish?

— Yes, Poles.

— O, polski. no to siadajta. O key!

O key! to jest właśnie autostop.



ZBIGNIEW BIENKOWSKI

# Rzecz działa się w kraju...

Artykuły Ksawerego Pruszyńskiego uwyraźniły zjawisko, które nie wszyscy dostrzegali w czasie wojny i z którego znaczenia nie wszyscy zdają sobie sprawę dzisiaj: równoległości politycznych przemian w Londynie i w kraju. „Bieg na przelaj”, jaki się odbywał na emigracji, bieg w stronę przeciwną tej, która jedynie winna być słuszną i osiągalnym celem politycznym, odbywał się również w kraju. Tu i tam trwała zacięta walka o władzę, walka bezwzględna, która w ostatnim swoim stadium odbywała się dosłownie nad brzegiem przepaści.

Bohaterstwo polskiego żołnierza pod Narvikiem, nad Londynem, pod Tobrukiem i pod Monte Cassino, przykuwało nasze niewolne oczy tak, że nie dostrzegaliśmy politycznych matactw i sieci intryg, krępujących jedynie słuszną rację stanu i uniemożliwiających ludzkom dobrej woli jej realizowanie! Nie dostrzegaliśmy, lub nie chcieliśmy dostrzegać, gdyż legenda była nam nieodzowna do życia. Wieściom z londyńskiego półświatka politycznego nie dawaliśmy wiary, bo w naszym życiu Londyn **musiał** mieć wartość symbolu. Od tego zależało nasze codzienne, trwałe poczucie niepodległości, mimo wszystko, istnienia.

W kraju — całkowite zaabsorbowanie psychiki oporem wobec okupanta, pośrednia lub bezpośrednia walka z nim, tysiące ofiar śmiertelnych w tej walce poniesionych, nie pozwalały nam, a przynajmniej wielu z nas, nawet domyślać się istnienia innych niż wolność, celów tej walki. Nie dopuszczaliśmy do siebie podejrzenia, gdyż zwątpienie w tych warunkach było więcej niż śmiercią. Więźniowie Pawiaka czy koncentracyjnych obozów wtedy, gdy stracili pewność życia, zachowywali pewność ostatnią: o słuszności swojego poświęcenia. Dlatego wszyscy, którzy na tę ostatnią pewność byliśmy narażeni (a byliśmy narażeni wszyscy), nie chcieliśmy dopuszczać podejrzenia.

To stanowiło siłę konspiracji, to stanowi jednak również dzisiejszą słabość ludzi, którzy przez konspirację przeszli. Otworzenie oczu na całą szerokość i nagłe ujrzenie życia jako ceny nie za wolność, której wartość nie jest dzisiaj i nie była wówczas wymierna, lecz za manewr o niewiadomej, lub wiadożej, że zła, treści — jest nieszczytnie tak wielkim, że na ustalenie jego wielkości brak porównań. Nieszczytnie to jest odwracalne i możliwe do zażegnania na planie życia. Jest jednak obiektywnie ostateczne, gdy na otworzenie oczu nie starczyło już życia.

Dzisiaj, kiedy czas i przeobrażenia ideowe naszemu spojrzeniu na rzeczywistość dopiero co minioną nadały właściwości obiektywnego patrzenia, możemy zdobyć się na odwagę zdeprecjonowania własnego wkładu w minioną wojnę. Wkładu najbardziej osobistego, który każdy z nas mniej lub bardziej mitologizuje. Dla ludzi konspiracji, jest to koniecznością moralną, gdyż utrzymywanie emocjonalnego napięcia wokół spraw nieważnych lub mało ważnych uniemożliwia pełne ujawnienie się psychiczne, a w konsekwencjach paraliżuje umysł i wolę życia.

Konspiracja była dla wielu szkoła serca, lecz — i to trzeba sobie uświadomić — dla bardzo wielu tylko edukacja sentymentalna. A wiadomo jak zżubne są skutki takiej edukacji.

Choć do rozwoju wydarzeń w kraju pisało wiele. Ksawery Pruszyński ukazał pierwszy obiektywnie rzeczywistą wartość symbolu londyńskiego i cień jaki od tego symbolu padał na kraj. Cień ten nie powinien nam zastąpić spraw, które się tu działy. Tym bardziej, że ich wymiary polityczne w tej samej skali co i londyńskie, można ustalić.

Siła konspiracji polegała na niechęci przemyslenia przez społeczeństwo jej założeń do końca, a przez to na powszechnej nieznajomości jej rzeczywistego nurtu. Nie trzeba już dzisiaj dowodzić, że nieznajomość ta, która warunkowała polityczne istnienie ośrodków skompromitowanych i systemów wstecznych, była starannie utrzymywana. Społeczeństwo o konspiracji wiedziało tylko ogólnikowo. Zadowolano się terminem „organizacja” na określenie wszelkich przejawów tajnej niepodległości. „Organizacjom” przypisywano magiczną nieomal siłę i równie magiczną nieomyślność. Brak samodzielności myślenia w społeczeństwie sprzyjał wszelkiego typu mistyfikacjom i nie rzadko po prostu oszustwom. Ogółowi wygodnie było wierzyć, że istnieje ktoś, kto za wszystkich myśli, planuje, działa i w odpowiedniej chwili do powszechnego wystąpienia powoła. Ten brak krytycyzmu obok technicznej zresztą niemożności sprawowania kontroli, był ważnym elementem politycznej koncepcji ludzi sanacji, dla których konspiracyjne warunki stworzyły idealne pole działania.

O ileż łatwiejszą niż na emigracji miała sanacja rolę zagranic. Nieistnienie obowiązku ujawnienia nazwisk ułatwiało ukrycie politycznych sztydów tam i wtedy, kiedy to było potrzebne taktycznie.

Kiedy klęska wrześniowa skompromitowała, zdawało się nieodwołalnie, reżym Rydz-

Smigłego i głosy oskarżenia odezwały się ze wszystkich środowisk politycznych, ludzie sanacji nie podjęli obrony bezpośredniej. Wtedy byliśmy skłonni uważać to za takt z ich strony, okazało się, że była to tylko taktyka. Pamięć kraju była zbyt świeża, by odważono się wszczynać lub przenosić z emigracji na grunt mokry jeszcze od krwi — przetargi personalne Mościcki—Wieniawia—Raczkiewicz. Casus Wieniawia był bardzo długo starannie ukrywany, a Raczkiewicza przedstawiano nie jako byłego wojewodę i sanacyjnego marszałka senatu, lecz jako prezesa Związku Polaków Zagranicą. Nazwisko Sikorskiego służyło w tym okresie za tarczę ochronną tym bardziej skuteczną, że zrzeczenie się przez Raczkiewicza prerogatywy politycznych, jakie posiadał prezydent według konstytucji 1935 roku, stanowiło Sikorskiego pozornie wzmacniało.

Już wtedy jednak, jeśli ocenia się zjawiska z perspektywy czasu, uwidocznia się aktywność polityczna ludzi — jak się wtedy mówiło — byłego reżymu. Stworzenie i utrzymywanie legendy o szybkim, zwycięskim zakończeniu wojny na Zachodzie, stawiało przed społeczeństwem jedyny konsekwentny z tym założeniem obowiązek — przygotowanie się do podjęcia walki zbrojnej. Milcząc politycznie, ludzie sanacji „zwierali szeregi” i „gotowali się” do ataku.

Utworzenie Związku Walki Zbrojnej (ZWZ) dawało sanacji dwie kapitalne korzyści: 1) skierowywało uwagę społeczeństwa ku sprawie walki o niepodległość a tym samym osłabiało tętno życia politycznego, oraz 2) dawało jej przewagę z tego powodu chociażby, że większość „fachowców” (oficerów zawodowych) do walki tej niezbędnych, pochodziła ze środowiska sanacyjnego.

Uprzedzenie planów Sikorskiego, który doskonale rozumiał konieczność powołania do życia przede wszystkim krajowego ośrodka dyspozycji politycznej, przez stworzenie faktu dokonanego — zaciążyło fatalnie na całej przynależności konspiracyjnej. Zatwierdzenie ZWZ było pierwszym błędem politycznym Sikorskiego. Od tej chwili datuje się stała przewaga ośrodka dyspozycji wojskowej nad cywilnym, przewaga tym bardziej groźna, że przez cały czas konspiracji wyzyskiwana dla celów właśnie politycznych. Jak wiele razy (co Ksawery Pruszyński uwypuklił), tak i w tym wypadku na dnie błędnej decyzji Sikorskiego leżała jego najlepsza wola, nie wystarczająca tam, gdzie wielkiej siły charakteru potrzeba było.

Chociaż przedstawicielstwo polityczne rządu w formie Delegatury Rządu na kraj zostało utworzone, to jednak pierwszeństwo organizacyjne ZWZ oraz jego funkcja przygotowania walki zbrojnej dawały mu wielkie prerogatywy moralne w społeczeństwie i co najważniejsze — niezależność: Sikorskiemu mimo wysiłków nie udało się już nigdy odebrać ZWZ-owi jego roli pierwszoplanowej. Chociaż formalnie komendant ZWZ był podporządkowany Delegatowi, to jednak praktycznie było przeciwnie. Już sam fakt, że drogi łączności kraju z Londynem były w dyspozycji (przynajmniej w pierwszym okresie) ZWZ, świadczy dostatecznie jasno. A poza tym ZWZ, jak późniejsze PZP i AK, był całkowicie niezależny finansowo. Nie naprawiała tego stanu rzeczy decyzja gabinetu londyńskiego o kontrolowaniu wydatków ZWZ przez DR, gdyż była ona praktycznie niewykonalna. Wydatki na broń i wywiad były przecież niesprawdzałne. W tych warunkach sytuacja pierwszego delegata Ratajskiego i drugiego Piekalkiewicza była bardziej niż trudna. Bez aparatu własnego (który dopiero w 1942 zaczęto tworzyć), zdani wyłącznie na dobrą wolę ZWZ, ograniczali swoją działalność do konferencji z przedstawicielami stronnictw i do alarmowania Londynu.

Rozgrywki polityczne utrudniał Ratajskiemu w kraju bardziej niż Sikorskiemu w Londynie fakt nieujawnienia się sanacji. Ten pod-

wójny stopień zakonspirowania sprawiał, iż kontrowersje Delegat Rządu — Komendant ZWZ sprowadzano w Londynie do wymiaru załargów personalnych, co w efekcie osmieślało tylko cywilny czynnik polityczny.

W tym stanie rzeczy jedynym sposobem przeciwstawienia się sanacji było stworzenie mocnych i niezależnych ośrodków wojskowych. Ośrodki takie istniały już od 1939 roku przy wszystkich niemal ugrupowaniach politycznych. I tak „Gwardia Ludowa” przy PPS, „Bataliony Chłopskie” przy Stronictwie Ludowym i in. Organizacje wojskowo polityczne w oparciu o Delegaturę Rządu miały stanowić odciążenie i przeciwwagę sanacyjnych wpływów.

Ludzie sanacji nie rezygnowali jednak łatwo. Różnymi drogami zmierzali do unifikacji w ramach ZWZ wszystkich organizacji o charakterze militarnym. Unifikacja ta zapewniała im przecież przewodnictwo. Drogi były bardzo rozmaite. Tworzono grupy wojskowo polityczne o fikcyjnych wpływach terenowych po to tylko, by mieć odeskoczną do rozbijania jednolitości organizacji wojskowych politycznie niezależnych od ZWZ. Tak np. powstały m. in. „Racławice”, wywodzące się z sanacyjnego, przedwrześniowego „Siewu”, a wymierzone przeciw „Batalionom Chłopskim”. Konkurencja leży u podstaw powstania takich, dziś zapomnianych nawet z imienia organizacji, jak różne POS, PZW i in. Równocześnie alarmowano Londyn, za pośrednictwem owej „szóstki” Sosnkowskiego, domagając się wydania zarządzeń unifikacyjnych. Presja londyńskich „kół sanacyjno-wojskowych” na Sikorskiego zmusiła go istotnie do takiej decyzji. I miał miejsce paradoksalny fakt, że Delegatowi Rządu polecono wykonanie unifikacji i tym samym wzmocnienie ZWZ, który był przecież przede wszystkim przeciw rządowi Sikorskiego wymierzony. Świadczy to, jak bardzo Sikorski już wtedy, w okresie francuskim i wczesnym londyńskim skrupowany był w swojej niezależności.

Delegat wbrew interesom politycznym rządu Sikorskiego i stronnictw, które ten rząd reprezentował, wykonywał zarządzenia Londynu i tym samym wzmacniał pozycję sanacji. Stronnictwa demokratyczne orientacji londyńskiej (gdzie tylko tę część konspiracji omawiam) broniły swoich wpływów przed zakusami sanacji samodzielnie i z różnym skutkiem. Największy opór stawiała PPS (WRN), gdzie wpływy sanacji sięgały bezpośrednio. „Gwardia Ludowa” została w całości podporządkowana ZWZ-owi, co spowodowało w następstwie osłabienie tej partii i jej rozpad polityczny. Stronnictwo Ludowe broniło „Batalionów Chłopskich” bardzo długo, a nawet po ich formalnym wcieleniu do PZP, następcy organizacyjnego ZWZ, utrzymało ich faktycznie niezależność. To samo odnosi się do oddziałów ugrupowań prawicowych (Stronnictwo Narodowe).

Spryt polityczny sanacji sprawił, że naturalne siły, jakimi Sikorski mógł rozporządzać w kraju, oddał sam do dyspozycji swoich najbardziej zawziętych przeciwników.

Nie wydaje się, by należało wnikać w schematy organizacyjne ZWZ dla ukazania stopnia, w jakim organizacja ta była podległa wpływom sanacji. W niczym istota tej zależności nie ulegnie zmianie, gdy człowieka sanacji widzieć będziemy nie w Komendancie Głównym, lecz w jego szefie sztabu.

Posiadanie w zasięgu swych wpływów organizacji silnej, bogato finansowanej i faktycznie zależnej tylko od Sosnkowskiego („szóstka”) dawało sanacji wolną rękę do działalności nawet ryzykownej politycznie. A zmianą dyspozycji psychicznych społeczeństwa wobec przedłużania się wojny ułatwiała jej przygotowaną starannie kampanię.

Trzy ugrupowania sanacyjne, pozornie się zwalczające rozpoczęły konsekwentnie przemysłaną akcję. „Obóz Polski Walczącej” (OPW), „Konwent Organizacji Niepodległo-

ściowych” (KON) i demokratyzująca grupa „Polska Walcząca” są świadectwem paradoksalnej sytuacji, jaka w kraju i na emigracji powstała. Oparte o ideologię „państwową” i widomy jej znak — naczelnego wodza, ugrupowania te bezprzykładnie zwalczają premiera, chociaż ten sam człowiek obie te funkcje pełni. OPW, KON i „Polska Walcząca” mimo różnic ideologicznych uzupełniają się wzajemnie. Osiadają autorytet Sikorskiego w społeczeństwie i macą istniejący zgodnie z jego planami układ polityczny. OPW działa na terenie nacjonalistycznym (dawny OZN), KON sięga wpływami do wielkiego przemysłu, a „Polska Walcząca” poprzez PPS (WRN) na ugrupowania demokratyczne. Między trzema partnerami istniejące kontrowersje mają swoje źródło w pęknięciach ideowo-personalnych byłego reżymu. Podział na „smigłowców” i „sławkowców” konspiracja utrzymuje mimo, że kolonia budapeszteńska czyni próby i wysiłki zjednoczenia. Nie jest ważne, czy porozumienie zostało osiągnięte a tylko zachowano pozory skłócenia, czy też porozumienia nie osiągnięto istotnie. Jest faktem, że grupy sanacyjne taktycznie się uzupełniały, gdyż cel wszystkie trzy miały wspólny: dorwanie się za wszelką cenę ponownie do władzy.

Długotrwała wojna, a przede wszystkim upadek Francji sprawił, że społeczeństwo klęskę wrześniową odczuwać zaczęło mniej boleśnie. Inne bóle były bliższe — życie i terror okupanta je stwarzały. W tym stanie psychiki narodu cóż było łatwiejszego od prób rehabilitacji września. Sanacja rozpoczęła kampanię rehabilitacyjną gwałtownie i prowadziła ją na wszystkie sposoby. Ze militarnie nie było tak źle, bo przecież Francja... Ze układem angielsko-polskim Beck stworzył podstawy do politycznej nadziei na lepszą przyszłość itd., itd. Rehabilitacja miała umożliwić sanacji wejście na główną arenę polityczną kraju, miała zrównać ją w prawach z innymi partiami i przede wszystkim miała przygotować kraj do aprobaty ewolucji Londynu, która się odbywała w tempie przyspieszonym.

Jest jedno stwierdzenie w artykule Ksawerego Pruszyńskiego, które wyświeśla tajemnicę wzrostu wpływów sanacji w Londynie. Pruszyński pisze o braku odpowiedzialnych przywódców Stronnictwa Narodowego na emigracji i o konsekwencjach tego braku. Tak, bo właśnie Bielecki i Doboszyński byli twórcami sanacyjnego odrodzenia. Oni stworzyli to niezrozumiałe w kraju porozumienie ONR — sanacja — PPS (Ciołkosz), które spowodowało trwałe rozdziewki wśród stronnictw Delegatury i osłabiło ich reakcję na sanacyjną działalność. Porozumienie Bielecki—Sosnkowski—Ciołkosz leżało u podstaw niepowodzenia koncepcji politycznej Sikorskiego.

Jak bardzo sanacja była pewna swego sukcesu jeszcze za życia Sikorskiego, świadczy stała, uporczywa obrona konstytucji kwietniowej. Obrona, zdawałoby się, nieuzasadniona taktycznie, a jednak. Tak byli pewni opanowania instytucji władzy, że z góry dyktowali warunki jej pełnienia.

Ludzie reżymu, który dla opozycji miał tylko dwa miejsca: Brześć i Berezę, uprawiali w najtragiczniejszych chwilach państwa polskiego najordynarniejszą kampanię antyrządową. Ludzie reżymu, który zaprowadził absolutną niewolę słowa, wyszukiwali stan konspiracji do anarchizowania społeczeństwa.

KON w „Myśli Państwowej” wtedy, kiedy należało skupić uwagę społeczeństwa na najważniejszych akcie państwowym przez Sikorskiego zawartym: umowie z ZSR, historycznie skłócał i jątrzył. Nie było błędu, którego by, w oczach sanacyjnych, nie popełnił. Sanacja, która nie posiadała nigdy koncepcji politycznej, rozciągała perspektywy nie-szczęścia, jakie z jego postępowania politycznego wyniknie. Z obozu tego nie odezwał się ani jeden głos trzeźwej rozważli.

Kampania organizacji byłego reżymu zmierzająca do jednego tylko celu: kompromitacji rządu Sikorskiego i jego Delegatury w kraju, a w konsekwencji do opanowania przez byłego reżym władzy. W tym obwinianiu ośrodka politycznej dyspozycji nie było granic. Zarzucał mu m. in. brak inicjatywy i nieaktywność w walce z okupantem, zachowując dla siebie prawdę, że nikt większej za tę nieaktywność nie ponosił odpowiedzialności niż właśnie ludzie sanacji, konspiratorzy drugiego stopnia w ZWZ.

Ażeby analogia między działalnością sanacji w kraju i na emigracji była pełna, nie wolno ukrywać, że i w kraju usiłowano dokonywać zamachów stanu. Rzecz nie do wiary, a jednak. W kraju, gdzie szalały gestapo i żandarmeria, sanacja posiadała własną grupę bojową w postaci tzw. „Muskietierów”, którzy mieli w swej dyspozycji środki policyjne na użytek wewnątrzno-polityczny.

Usiłowano również stworzyć nowy ośrodek dyspozycji centralnej, który by w oparciu o PZP przeciwstawiony mógł być Delegaturze Rządu Sikorskiego. Nie było środków, które by nie mogły służyć do sanacyjnych celów. Gdy na jesieni 1942 terror okupacyjny osiągnął swój, zdawało się, szczyt i organizacje bez względu na różnice polityczne zdecydowały stworzyć Społeczną Organizację Samopomocy (SOS), grupy sanacyjne licząc na większość w tym zespole zamierzały z SOS uczynić „rząd krajowy”.

Wtedy wyszedł na jaw cel istnienia tych róż-

## Suchard

CZEKOLADA

KAKAO

CUKIERKI

PRALINY

REKONJAMIA JAKOŚCI



nych sanacyjnych przybówek. Różne POSy i POZY, PZW i „Raclawice”, różne „Znaki” i ZONy, różne kobiece POW i ZPOK, to wszystko co stanowiło nocne życie podziemi, wtajemniczenie w które dawało nie tylko naukowy tytuł doktora konspiracji, ale również pozycję polityczną. Wtedy z okazji SOSu poznaliśmy jeszcze jeden talent sanacyjny ujawniony w latach wojny: talent parlamentarny. W „kularach” rozdawano stanowiska i portfele, dodawano i odejmowano mandaty, których nikt na serio nie posiadał. To co jest dzisiaj idealnym tematem groteski, wtedy było koszmarem nieprawdopodobnym. Dzisiaj nie ważne jest, że zamach się nie udał (gdyż udał się później), ale ważne jest to poczucie siły i ta pewność siebie, jakie sanacja okazała już w 1942 roku.

Sikorski usiłował wtedy rozpocząć walkę o utracone pozycje. Ale było już za późno, gdyż rozpolitykowanie i rozbięcie partyjne kraju stało się faktem dokonany.

A społeczeństwo w dalszym ciągu podtrzymywało legendę „organizacji”. Nie znając motywów ani celów działalności poszczególnych ugrupowań, każdy przejaw życia niepodległego podciągało na jedyny słuszny poziom: walki z okupantem. Samo istnienie „organizacji” było legitymacją jej ważności. Ludzie ginęli w więzieniach i obozach nie tracąc wiary w słuszność swojego poświęcenia. Nikt ofiar nie segregował. Kolporter lub nieuczynny członek sanacyjnej szmaty pełnej inwektyw na

Sikorskiego i jego „niegodną Polaka” politykę wschodnią ginął z tym samym poczuciem spełnienia obowiązku co zamachowiec — partyzant. Przestała istnieć hierarchia wartości. Możliwe to było tam, gdzie zaufanie było bezgraniczne. A w Polsce lat wojny ono było takie. I w tym jest największa zbrodnia sanacji: wyzyskiwanie patriotyzmu ogółu społeczeństwa dla prywatnej rozgrywki o władzę.

Śmierć Sikorskiego wyzwoliła energię z nagromadzonego przez sanację materiału wybuchowego. To, że ludzie sanacji objęli faktyczną władzę wcześniej niż się sami spodziewali, dało im czas skompromitować się ostatecznie i na zawsze. Powołanie Sosnkowskiego na stanowisko naczelnego wodza, chociaż doprowadziło do katastrofy warszawskiej, której ceny nigdy dosyć wysoko się nie ustali, umożliwiło ujawnienie się całej sieci intryg i samozlikwidowanie się ośrodka dyspozycji tej starszalszej anarchii.

Po śmierci Sikorskiego wypadki potoczyły się gwałtownie. Mikołajczyk słaby, osaczony w Londynie, nie rozporządzał już w kraju tą siłą, na którą mógł zawsze, mimo wszystko, liczyć Sikorski. Opozycja Bieleckiego w przedpokoju londyńskiej Rady Narodowej i jego kontakty dobozyskie z Sosnkowskim, a tegoż z Pragierem i Ciołkoszem, nie pozostały bez oddźwięku w kraju. Stronnictwo Narodowe coraz częściej zajmowało konspiracyjne ławy opozycji, PPS (WRN) wobec słabości własnej spowodowanej powstaniem mocnego

bloku lewicy (PPR i Centralizacja) lawirowała między Delegaturą, PZP i Konwentem sanacyjnym. Stronnictwo Pracy walczyło z uporem o rozszerzenie swoich wpływów na drugą kanapę. Pozostało jedynie Stronnictwo Ludowe, lecz i tu konieczność zajmowania na stałe pozycji kompromisu pozostawiła swoje ślady. Zarysowywały się już nowe linie wewnętrznego podziału tego stronnictwa.

Obraz rzeczywistości politycznej kraju koprowano z londyńskiego negatywu.

Ale w czasie zamętu partyjnego powstawała niezauważana długo nowa siła, której odpowiednika Londyn już nie posiadał.

Rzecz działa się w kraju, gdzie dzień nie mijał bez tragicznej śmierci. Najlepsi Polacy ginęli za wolność, a w cieniu ich poświęcenia odbywała się walka o władzę i partyjny bieg na przełaj. Nam, którzy przeżyliśmy, świadomość tego odbiera jedyną satysfakcję, jaką, zdawało się, uda nam się z okupacji wynieść: satysfakcję spełnienia obowiązku. Bo jeśli dla moralnej oceny czynu wystarczy intencja, to jego rzeczywista wartość w skutkach się zawiera. A nie jesteśmy dzisiaj pewni, czy skutki naszych czynów odpowiadały ich intencjom.

Uświadomienie sobie tej niepewności jest koniecznym uzupełnieniem nauki, jaką konspiracyjna szkoła serca nam dała, bo tylko wtedy lata wojny nie pozostawiają w nas trwałych śladów sentymentalnej edukacji.

Zbigniew Bienkowski

KORNEL FILIPOWICZ

## Zwycięstwo

(Kartka z kalendarza ulicy Pomorskiej)

— Kto?

Bezczelny kształt odzywa się z dna ciemności:

— Krakowianin — z Juliusza Lea — skuto was?

— Tak —

Ręka, której zbliżanie się przeczuwa Jan z powiewu powietrza, dotyka jego wykręconego do tyłu ramienia, wędruje ramieniem do góry i wtyka mu do ust papierosa. Zapala. Jan, ciągle oparty plecyma w kącie, w jedynym konkretnym miejscu niezajętej przestrzeni, jakie znalazł, gdy go tu wpuszczono, zaciąga się mocno, spychając papieros w kącik ust. Wraz z dymem wraca mu jego człowieczeństwo, — do tej chwili był stęziałym i nieczułym kształtem, — ale równocześnie powraca słabość i niepokój. Pyta się niepewnym głosem, jakby próbując w obcych ścianach i ciemności skali swego głosu:

— W którą stronę wychodzi okno?

Odpowiada mu głos o szyderczej intonacji krakowskiego robotnika:

— Na Wybickiego, na poziomie chodnika. Zamknięta płytą pancerną.

Ta odpowiedź uspokaja Jana. Świadomość absolutnego zamknięcia uwalnia od pokus. Teraz przedsięwzięcie Jan, niby jakiś Robinson Kruzoe zepchnięty do otchłani, swoją pierwszą wędrowną, wiodąc skutym ramieniem wzdłuż ściany. Na końcu tej podróży potyka się o ławę. Tuż koło siebie ma znów krakowianina z Juliusza Lea, ów pierwszy żywy punkt, o jaki zaczepił swoje zdumienie. Bo pierwszym uczuciem jest nie strach, ale osłupienie, nie rozpacz, ale zdziwienie, że tak łatwo można odebrać człowiekowi wolność. Siedzi oto spokojnie na wąskiej ławie, nie potrzebując w ciemności ukrywać przed nikim swego tragicznego wyrazu twarzy.

Obszedłszy po obwodzie celi, przekonał się Jan, że znajduje się w środku diabelskiego kółka, wydzielonego jak najdoskonalej z otaczającej zewnętrzności, nad którym ośmienna rzeczywistość szumi swobodnie jak morze nad zatopionym statkiem. Robotnik z Juliusza Lea dochodzi do tego samego wniosku, gdy mówi wolną, rozciągając, banalne słowa odzyskujące dopiero w tych warunkach swoją wstrząsającą prawdę:

— Głowa, bracie, muru nie przebijesz!

Od tej chwili potoczy się zwyczajna rozmowa, coraz żywsza w miarę jak obaj pozbywają się nieufności, odnajdując wspólnych znajomych. Obaj jednak są dosyć ostrożni i zatają przed sobą pewną część swojej osoby, jak gdyby ona całkiem nie istniała. Jedną bowiem część ich świadomości osób i zdarzeń nie jest tak całkiem ich własnością; jest dobrem publicznym, społecznym, organizacyjnym, należącym do środowiska i towarzyszy, którzy zostali na wolności. Powierzono im na przechowanie rzeczy, których nie wolno nikomu oddać. Najlepiej byłoby je zniszczyć w sobie, wykreślić z pamięci. Bo „powiedzieć” pochodzi od „wiedzieć”. Ale cóż, kartkę papieru można ostatecznie porwać, połknąć, ale co zrobić z pamięcią? Czy będzie się miało dosyć sił, nerwów i mięśni, aby wytrzymać, ale równocześnie tyle sprawności umysłu, aby obronić (o ile się da) i siebie. Bo Jan nie chce wcale umrzeć. Myśli jak będzie odpowiadać — tam — na „przesłuchaniu”. Po chwili uznaje instynktownie za najlepsze nie obierać z góry żadnego systemu.

Gdzieś daleko, za dziesiątymi drzwiami, rozlega się trzask zamka i zbliżająca się para kroków. Blżej ktoś pyta się gorliwą niemczyzną: „Grad” aus“?

— Ja, ja.

Jeszcze dwoje drzwi i chrobot klucza właśnie w tym zamku. W ciemności znalazł się ktoś trzeci.

— Jest tu kto?

— Tak, już dwóch, krakowianie. A wy skąd?

— Ja nietutejszy, wzięto mię z ulicy, z Floriańskiej, jakiś lajdak zaczął mnie, że jestem Żyd. Nie mam żadnych papierów. Gdzie tu jest okno?

— Ho, ho, zaraz okno, — mówi ten z Juliusza Lea — a owszem, jest okno, pod samym sufitem, wychodzi na ulicę Wybickiego, dobrze opancerzone. I nawet nie ma klamki, bracie — dodaje ironicznie.

Stukając butami obchodzi nowy lokator dookoła celę i trafiwszy w końcu na jedyny tutaj przedmiot, ławę, siada na niej. Jan pyta się go: „Palicie“?

Nie, nie pali, więc poddaje mu ostrożnie słowa, mądre słowa, jedyne lekarstwo, jakim w tej chwili rozporządza: „Głowa muru nie przebijesz“!

Odpowiedź jest nieoczekiwana. Człowiek odskakuje nagle aż gdzieś pod niewidoczną ścianę jak smagnięte zwierzę i zdławionym głosem recytuje prawdę o sobie:

— Jestem Żyd. Ja mogę tylko głową przebić mur. Innego wyjścia nie ma dla mnie ani stąd, ani stamtąd, ani znikąd. Nie potrzebuję nic przed nikim ukrywać. Ach, żebym ja miał coś do niepowiedzenia, co mogłoby mię ocalić. Żebym ja miał na sobie jakiś mord, akcję czy działalność jak wy, byłbym szczęśliwy, nie byłbym tak straszliwie samotny, miałbym jeszcze przed sobą przynajmniej mękę śledztwa, a nawet śmierć miałaby jakąś cenę. Zdychnąłbym czułbym się zwycięzcą. Oni — tam, nie będą się mnie o nic pytać. Nie będą niczego słuchać. Wystarczy, że jestem napiętnowany — rozumiecie? — jestem napiętnowany! Naznaczone!

W ciemności, ciszy, w nieporuszonej przestrzeni, gdzie żadne pasemko powietrza nie zadry, jarzy się trzaskający papieros i słychać arytmiczny oddech człowieka płaczącego, a może tylko bardzo zmęczonego. Zwolna i ten wyrównuje się i uspokaja; człowiekowi, który nie ma o czym myśleć — pozostaje tylko sen.

I Jan na dnie tej ciemności czuje, że na wspólnym kręgu śmierci zajmuje dogodniejszą niż siebie — śmierć zupełną.

Podnosi bezużyteczne w absolutnej ciemności oczy, które chcą teraz przejąć jakąś nową rolę, jakby dwóch sprzężonych karabinów maszynowych, jakby dwóch celnych żołdaków dla myśli. Ale oczy nie mogą przewyciężyć nawet własnej materialności i jak dwa marne psy, które w pogoni za czymś szybszym, nie potrafią wyjść same ze siebie, wracają, przynosząc jakiś strzęp, który może być tylko przewidzeniem. Na wysokości okna jak gdyby jaśniejąca smułka światła. Byłoby to odkrycie tak ogromne, że Jan opuszca głowę i zaciśka powieki. Nieprawda, że tu czas ma wolniejszy bieg — bo gdy podnosi znów głowę, ostra jak klinga linia światła, powstała z nieszczęsnej o milimetr okiennicy, jest zjawiskiem prawdziwym.

— Świta!

Trąca w ramię robotnika z Juliusza Lea:

— Patrzenie, robi się dzień!

— Tak — odpowiada — ale to jeszcze wcześniej — i powraca do swojej drzemki.

Ale Jan postanawia już czuwać. Z oczyma zawieszonymi u rozświetlającej się aż do bólu źrenicy linii, doczeka się w jakiejś tam

chwili pierwszego, zduszonego brzęku tramwajów, zdławionego szmeru pierwszych aut, okrążających gdzieś z dala tę wyspę ciszy o ścianach grubych jak skała, a wreszcie, wreszcie na końcu, znajomej już drogi kroków zbliżających się całą gamą otwieranych drzwi aż do ostatniego celu: trzasku klucza u drzwi celi. W oślepiającym świetle stol ten, który aresztował Jana i wzrokiem niedobrego chłopaka obrzuca trzy zwierzątka złapane wczoraj w klatkę. Żyd z otwartymi oczyma, w dziwacznej pozycji, leży pod ścianą, jakby runął pod nią z nieprawdopodobnej wysokości — ci dwaj z ławy podnoszą się. — Ty, chodź — odzywa się — wskazując ruchem głowy na Jana. Przepuszcza go koło siebie i zatrząskuje krótko drzwi. Kierowany z tyłu szkiełkami gestapowca skręca w prawo, lewo, prawo schodami aż do jasnego pokoju zalanego porannym słońcem. Siedzi teraz na krześle, patrząc na lśniącej biurka, wieszak na płaszcz i przeraźliwą golińkę ścian z portretem Himmlera. Gestapowiec kręci się przez chwilę po kancelarii, wydobywa papierosy i akta z szuflady; wychodzi na sekundę, aby zmienić wodę we flakonie z baziami. Za oknem jest wiosenny poranek. Świegocą zjadają wróble. Schodzą się powoli i inni, wszyscy o twarzach niezadowolonych albo odwróconych jak negatyw. Brak zapewne paru minut do godziny urzędowej, bo zabawiają się półprywatną rozmową, żenującą Jana przez jej rodzaj okrucieństwa, od którego Jan odgradza się, stara się tego nie słyszeć, przerzucając wszystkie swoje siły na nerwy i mięśnie w oczekiwaniu na spodziewaną walkę.

W pewnej chwili jeden z nich spogląda na zegarek i rzuca niebieski skoroszyt sąsiadowi. Skoroszyt obiega dookoła biurka i wraca z powrotem do niego. Jan słyszy swoje nazwisko i imię.

— Tak.

— Będziesz odpowiadał po niemiecku?

— Nie umiem, chciałbym zeznawać po polsku.

Jan wyczuwa, że jego życzenie stwarza pewien pozaurzędowy, wrogi nastrój. Poprawiają się na krzesłach. Ale woli mówić po polsku, gdyż zdaje mu się, że zyska tym sposobem na czasie. Jego instykt liczy na jakies nowe szanse w tej grze, na improwizację i kontrolę.

Jego życie osobiste i społeczne do czasów wojny jest im znane prawie bez reszty, podają mu je po prostu z białych arkusików, wypełnionych gęsto piśmem maszynowym. Jan prostuje niekiedy fakty, nie zaprzeczając im, ot tylko tyle, aby zmniejszyć prawdziwość ich informacji. Pytania komplikują się coraz bardziej, w pewnej chwili zaczynają dotyczyć tej reszty życia Jana.

— Ty należałeś do takiej a takiej to organizacji nielegalnej.

Odpowiada zwyczajnym głosem:

— Nie.

Słowo to musiało już tutaj brzmieć w tylu odmianach semantycznych, że nie oznacza ono nic. Poprawiają się wszyscy znów lekko na krzesłach. Będą mu nadawać znaczenia — myśli Jan. Nie słyszy nic z rodzaju: my ci tu zaraz przypomnimy — czego oczekiwał. Jeden z nich grzebie powoli w biurku, skąd wydobywa plecioną żyłę i odkłada spokojnie na wierzchu. Wychodzi do drugiego pokoju. Jan patrzy na harap uważnie jak pies, ale z pogardą człowieka. Tamten wraca z maską przeciwwiatrową w ręce i zaczyna mu ją troskliwie zakładać na twarz. Jan unosi lekko

brodę — odruch człowieka, który służył w wojsku. W następnej sekundzie pojmuje, że pochłaniacz jest zatkany. Ośmieszono niedorzeczną, przeciwgazową mordą, zaczynającą się już dusić, biją nagle wszyscy. W gradzie uderzeń, syjących się ze wszystkich stron odróżnia piękane smagnięcia żyła po udach i miarowe pytanie: — Nie? — Nie? — Nie? — Nie? — Nie? Każde uderzenie umniejsza ten mały zapas powietrza, jaki ma w płucach. Wentyl działa sprawnie, ale tylko w jedną stronę. Zaczyna dygotać cała, bo płuca wyczerpały już wszystkie tlen i teraz starają się wydusić go jeszcze z szarpających się trzewi, mięśni a nawet skóry. W chwili, kiedy Jan osiąga już nieledwie dobrodziejstwo jakiejś desperackiej równowagi biologicznej, kiedy zaczyna już oddychać przez samą skórę, kiedy jest bliski omdlenia — podnoszą mu maskę i przesłuchanie toczy się dalej, jak gdyby nic się nie stało. Zapalają nowego papierosa, przechodzi jakaś sekretarka z nareczonym papierów, o rozognionej twarzy i wezbranym ciężą bruchem, obrzucając Jana szklistym spojrzaniem.

— A znałeś Gertycha?

— Nie.

— Jaskólskiego?

— Tak, znałem.

— Skąd?

— Przedstawiono mnie na jakimś zjeździe.

Jan zdaje sobie sprawę, że ma nad nimi tak kolosalną przewagę, o jakiej żadnemu z nich nawet się nie śni. Cóż w końcu mogą zrobić, aby się dowiedzieć od niego czegoś, czego im nie będzie chciał powiedzieć? Jakaż bronią rozporządzają wobec tych ostatecznych, jakimi on dysponuje: milczenia i śmierci. Bawi się nawet przez chwilę pomysłem, że aby go złamać, aby unicestwić jego determinację, musieliby wpiersi oni wszyscy tutaj, wszyscy pięciu, którzy go będą bić, musieliby trupem paść ze złości i zmęczenia.

Z przeraźliwie jasnym umysłem odpowiada teraz, segregując fakty i ludzi tak, aby nie szkodzić im ani sobie. Broniąc ich, broni siebie. Swoją własną śmierć chowa w trzewiach jako tego ostatecznego, najwinniejszego sprzymierzeńca i tak czuje się pewniej, niż gdyby miał w tej chwili wolne ręce i pistolet w oberwanej kieszeni.

Jego życie, odczynione ze wzruszeń, niepokojów, osobistych kłesk, przepływa tutaj w szmerze maszyny do pisania. I Jan dziwi się, że ten suchy schemat społecznego jego życia ma tyle sensu i mogłoby istnieć sam dla siebie jako wystarczający i celowy. Wojna. Jan zaostrza uwagę, gdyż wie, że wszystko co się dzieje po tej stronie września 1939 należy do spraw gardłowych.

Zaczyna się wertowanie w kartkach maszynopisu, wstecz i naprzód. Przesłuchanie nabiera tempa. Pytają się go ze wszystkich stron. Dopiero teraz spostrzega korzyści z zeznawania po polsku. Rozumie wszystko, ale nie potrzebuje się im odgrzyzać naokoło — czeka, aż tłumacz ułoży mu wszystkie pytania w szereg. Wściekają się dookoła niego, rzucają rękami, walą pięściami w biurka, zgrywają się, a jeden z nich o twarzy francuskiego generała, zastępa nawet na chwilę z głową schowaną w dłoniach jak człowiek cierpiący.

Sypią się nazwiska i krajobrazy, czyjeś słowa z prasy nielegalnej i zdarzenia polityczne. Chcą go poznać oddechu zanim go zaczną dusić w masce. Wychodzi spod niej z umysłem jasnym i ciałem nie przeszkadzającym mu już, bo znęconym biciem. Mylą się widocznie co do jego stanu, bo Jan łowi uchem fachową uwagę rzuconą przez kogoś przechodzącego właśnie przez kancelarię. Brzmi to coś jakby: „nie przeróbcie go, nie przefajnujcie go”, co ma oznaczać błąd, jaki może popełnić zbyt gorliwa gospodyni wyrabiając ciasto. Są zdania, że Jan jest już wystarczająco uplastyczniony, bo pada kilka nazwisk powiedzianych przedko, a potem bez czekania na odpowiedź, pytanie dotyczące organizacji.

— Nie.

To słowo ma tu dla nich posmak nudy. Nie robi już wrażenia. Powoli, bardzo powoli nakładają mu maskę wśród słów: — Jak będziesz chciał mówić, zrób znak głową — kiwaj głową — damy ci powietrza. Sądzą go wygodnie na krześle, poprawiają kajdanki na plecach i którzy z nich, zawieszony marynarkę na poręcz, rozpoczyna robotę. Jan czuje tylko parę pierwszych uderzeń, reszta trafia już na mięśnie znieczulone jak drzewo. Najcięższy okres do znanej mu już chwili, gdy skóra podejmuje funkcje płuc — przetrzymuje nerwami. Ale ta równowaga, do której doszedł dwa razy poprzednio, wiedzie już dalej — do śmierci. Nie ma innych dróg. Pozbywa się krótkim wydechem resztki powietrza, które truje go tylko i... traci przytomność. Budzi się w radosnym ośnieniu, jak dziecko. Coś ciepłego spływa mu po policzku. Krew czy łza? Za oknem przelewa się ciepłe wiosenne południe. W pokoju siedzi ich tylko dwóch. Płynnie bezustanny szmer maszyny. I Jan przypomina sobie słowa Żyda tam z lochu: „Ach, gdybym miał coś do niepowiedzenia, czułbym się szczęśliwy. Śmierć miałaby dla mnie jakąś wartość“!

I Jan uśmiecha się.

Jeden z tych rzuca na Jana uważnie spojrzenie, widocznie uśmiech tu też coś znaczy.

Ale Jan uśmiecha się do swego zwycięstwa.

Kornel Filipowicz



# Sprawa słusznej wyobraźni



ZBIGNIEW BIERNOWSKI

Zbigniew Biernowski. Sprawa wyobraźni. Kraków, Związek Zawodowy Literatów Polskich, 1945; str. 47 i 1 n.

Podstawowa dążność poezji Zbigniewa Biernowskiego ochrzczył terminem — **jedność w obliczu precyzji**. Objasniam. Którykolwiek z tekstów poetyckich Biernowskiego otworzy, uderza, że w bardzo zwartej budowie utworu znaki rzeczywistości fizycznej, pojęcia, nazwy uczuć, zmysłów i wrażeń sąsiadują tuż obok siebie.

**Wierchołek górski umawiam z dolina, gwiazdki ze śniegu z gwiazdą z astronomii, krok teraźniejszy ze śladem co zginął, a myśl o szczęściu z zapomnieniem o nim.**

(„Wychodzę z kształtu”).

Z tak bliskiego ustawienia nazwań równie dalekich powstawać może i nieraz w poezji powstawała konfuzja, wiodąca wiersz w płazmę i mgławicę. Tymczasem u Biernowskiego powstaje właśnie precyzja i niezamącona przejrzystość. Dzieje się to zapewne dlatego, ponieważ władza porządkująca w tej poezji jest intelekt i ścisłość. Władzą porządkującą elementy znacznie szersze od jakiegokolwiek intelektualizmu, a nie jakąś władzą wyłączną, zdana na siebie tylko Dalego to podkreślam, ponieważ siła dokładności może ludzi, jakoby ona tylko działała w poezji Biernowskiego i nadawała jej filozofujący charakter. Nie podanego. Intelekt jest tu jak filtr przepuszczający płyn, by ułożyły się na dokładne wyznaczonych miejscach, a nie jest jak zbiornik, z którego wyłącznie się czerpie.

Przykładem tej filitrującej i ustalającej roli niech będzie początek „Bałki o nicości”:

Na początku nie było nic.

Ani miast, ani wsi, ani ładu, ani morza, ani Ziemi,

Ani żadnej rzeczy z kształtu, powonienia lub wyglądu.

Ani jej zaprzeczenia.

Nie było miejsca i udatenia.

Nie było wzrostu i znikania.

Nie było ani barwy (bez światła), ani dźwięku (bez tonu),

ani żadnej materii (nawet z pomyślenia).

Nie było ani przedtem, ani dawno, ani bardzo dawno.

Było tylko nigdy człowieka.

Trudno w prostszy i bardziej precyzyjny sposób ujawnić poetyckie narastanie nicości, skłócenie niewyobraźni — proste nieistnienie rzeczy fizycznych, dalej nieistnienie ich jako kształtów pod zmysły, nieistnienie stosunków pomiędzy rzeczami aż do nieistnienia czasu, najbardziej nieuchwytnego, skoro ma być nazwane. Tak realizowaną dążność nazywam jednością świata w obliczu precyzji wyobraźni.

Istnieje w tej jedności pewien akt centralny. Znajduję go tylko u Biernowskiego i nie dostrzegam podobienstwa w żadnym innym lirycie. Jest nim oczyszczenie pola ze zwykłych jakości, które zmniejszy zwykły pełnię w poezji. Słuch służy słyszeniu, wzrok rejestracji barw i kształtów i to przystosowanie naturalno-realistyczne nigdzie nie zostało zaatakowane w samej swej podstawie. Fakty słyszenia barwnego, tożsawości inne i niesławidome. Tymczasem Biernowskiemu chodzi o to, by zmniejszyć świadomość nadad funkcje inne od normalnych albo też, sprawa jeszcze ważniejsza, przyjęcie działania zmysłów uczynić elementem swobody poetyckiej. Jego akt wyobraźni pragnie być aktem sięgającym w samą konstytucję zmysłów. Intelekt pragnie zapanować nad samymi zmysłami fizycznymi, którymi rzeczywistość przepływa w poezję.

Ta sprawa przewodnia pojawia się przede wszystkim w prozie poetyckiej Biernowskiego, z niepopartym, nie posiadającym u nas żadnej analogii w tym gatunku, „Aktom wyobraźni” na czele. Jest w tym poemacie coś na kształt wersetów opiewających jak powstał, a jak mógł być powstać świat wyobraźni poetyckiej. „Zastanawiano się dopiero nad wyborem specjalności dla zmysłów, które nie były wtedy jeszcze tak bardzo pewne swoich udziałów. Rece miały wówczas równie szansę jak i oczy, by być dalekosytnie”. Usta, jak wszystkie zmysły, umiały myśleć wtedy. Myślały o słowach. Wyobrażały sobie ich dźwięczność i formy utrwalania”. Między się w tych słowach coś więcej nad komentarz do własnej wyobraźni poety. Poeta niwelując, podważając normalne działanie zmysłów, wątpliwość o ich skończoność kształcie, z samej tej funkcji poetyckiej wątpliwości czyni element budowy. Porównanie wyraźni lepiej, co mam na myśli. Przy lekturze Biernowskiego narzucał mi się ustawicznie nie poeta jakiś, lecz — Kartezjusz. Czytając Biernowskiego, odczytałem na nowo „Rozprawę o metodzie”. Są tam słowa: „Nim ktoś zacznie przebudowywać dom, w którym mieszka, nie dość jest zburić go i gromadzić zapas materiałów, oraz zgodzić architektów, lub też ówczycy się samemu w architekturze, wreszcie nakreślić starannie plan. Trzeba mu także wystąpić o jakiś inny domek, gdzieby się mógł wygodnie pomieścić przez czas, kiedy będzie pracował nad nowym”. Otóż Biernowski jest jak człowiek, który przebudowuje dom, w jakim wszyscy poeci zwykli mieszkać, równocześnie żadnego domku zastępczego sobie nie skłócił. Przebudowując — mieszka, podważając fundament — stawia. W samo istnienie zmysłów wprowadzając element zastanowienia i niespodzianki intelektualnej, osiąga najbardziej własne wyniki swej poezji. Jeden z najpiękniejszych zwrotów poematu „Bez względu”, zwrot głoszący, że po- legł są wciąż obecni, brzmie: „W każdym krajo- brazie dostrzegam wasz, dia niepoznaki rozwinął w powietrzu, wzrok, jak chwile wypatrzyłeś drogę i rozdrożył moich spojrzeń. — Między dźwiękiem a uchem słyszę wyraźnie rozlegające się, czujniej niż milczenie, wasze zasłuchanie”. Momenty o nie- mniej ostatecznym napięciu prawdy i precyzji osiąga Biernowski w podobny sposób — pisząc to, mam na myśli przede wszystkim pełne wrzucenia ekskla- macje „Prób”, w których nie ma ani słowa o mi- łości, a jest prawda prośby i hołda bardziej doj- mująca nad wszystko co czytalem od wielu lat:

Nim słuch muzyki do ciszy ułoży,  
usłysz mnie — abym się rozległ.

Nim wzrok za w dolę bez powrotu zajdzie,  
ujrzyj mnie — abym widział.

Ten jest centralny i najczęstszy, ale nie jedyny akt wyobraźni Biernowskiego. Jego najlepsze li- ryki powstają również na inny sposób. Zaliczam do nich wspaniałe w omówieniu uczuć indywidualnych, w ich zamianie na hołd obiektywnej erotyki „Gdy Ziemia” oraz „Prośba”, zaliczam „Rozmowę” i „Dwie ojczyzny”, z prozy „Bez względu” i „Akt wyobraźni”. W precyzji Biernowskiego jest jakiś mekka rzeczowości, ona to sprawia, że te utwory, nigdy nie stają się — filigranowe. Zachodzi w nich jakiś podwójne działanie tej precyzji — kamienie stają się nieważkie jak pojęcia, pragnienia stają się dotkliwe i namacalne jak rzeczy. Najbardziej własne wyniki osiąga przeto Biernowski tam, gdzie udaje mu się utrzymać frazę poetycką na tym pograniczu rzeczowej dokładności pojęć i intelektualnego odrealnienia rzeczy samych. To pogranicze jest czymś więcej nad szukanie — jest jego najbardziej własnym stylem:

Gdy Ziemia kończąc już pobyt w przestrzeni  
śmierć swą w ostatnim zacieśnie okrażeńiu,  
i wstrzyma serce, aby w takiej chwili  
ziarna do wejścia już się nie trudziły,

kiedy pragnienie zapomni o wodzie,  
a ptak o gnieździe umierając w locie,  
kamień za kamień zmowi swe milczenie,  
i wiatr wywieje swe ostatnie tchnienie...

(„Gdy Ziemia”).

Doświadczenie poetyckie Biernowskiego posiada znacznie szersze od sprawy jego indywidualnej wy- obraźni i nie tylko jego obowiązują. Biernowski jest jak dotąd jedynym poetą, który przewycięził martwy punkt, na jakim od lat utknął u nas problem nowatorstwa poetyckiego. Najciekawsza ostat- nio próba wyjścia poza nowatorstwa tradycyjne — „Uplomienia” J. Lata — polega na skojarzeniu w- tók stylowych dotąd odmiennych. Inni drepcą w miejscu, nie uświadomiwszy sobie, jaka jest róż- nica pomiędzy formą poezji awangardowej a jej metodą — formę biorąc za metodę. Metodą bowiem było właśnie skonstruowanie pewnej świadomej, o przewodzie intelektu wyobraźni, formą zaś wedle- to, że konstruowano ją przemierzając podmioty w obrazach, przetrzucając normalne zależności na rzecz związków nieobecnych poza poezją itd. Metodą było stwarzanie nowych napięć twórczych, a jak się to miało odbywać — czy przez budowanie pew- nej specjalnej odrealnionej, liryki krajoobrazowej, bądź opisowo-dynamicznej, było to już zagadnieniem zasadniczo wtórnym, było sprawą realizacji, która mogła być taka, ale nie musiała być taka wyłącznie.

## PO PROSTU

### Jeszcze o prawie

Dziesięć lat temu z prawa uciekłem w lite- raturę. Pociągała mnie zawsze dyskusja, stu- dium prawne odzwyczajało od krytyki. Pra- wo wydawało mi się wtedy zbiorem raz na zawsze ustalonych, sztywnych i bezwzględ- nych formuł, jak gdyby wielkimi koszarami, do których wstępu broni nieublagany przepis. W literaturze można się było za to wykłócić do woli. Wszystko wydawało się sporne, od rymu aż po sens i pożytek pisania powieści. Byliśmy wszyscy nowatorami, zanim jeszcze zaczęliśmy pisać. Błogosławione czasy awan- gardy! Teraz z literatury uciekam coraz czę- ściej w prawo. W literaturze po okresie prób, chaosu i uprawnieniu każdej nowości, zaczy- namo marzyć o kodeksie nowego ładu. W pra- wie natomiast wszystko aż kipi od problemów, dyskusji i sporów. Pisał niedawno Jerzy Bo- rejca o procesie opóźniania się świadomości wobec przemian gospodarczych i społecznych. Trzon naszego prawa od niemal półtora wieku pozostał niezmienny. Doświadczenia faszyz- mu i sześciu lat okupacji odegrały rolę przys- łowiowego kija wsadzonego w mrowisko. Uczestniczymy w wielkiej rewolucji legalnej. Prawo nadrabia sto lat opóźnienia. Ogłoszono już nowe prawo osobowe, przygotowuje się reforma prawa o władzy opiekuńczej, kończy się ustalenie tekstu nowego prawa małżeń- skiego. Działa prawo o sądach specjalnych.

O ile zmiany prawa cywilnego pozostają zwykle dla laików nieuchwytnie, każda reforma prawa karnego spotyka się zawsze z opo- rem. Nic dziwnego, każda zmiana karalności przestępstw — to jaskrawa konsekwencja do- konanej rewolucji społecznej lub obyczajowej. Jeszcze przecież niedawno cudzołóstwo było ścigane przez prokuratora i karane na- wet w więzieniu. A dzisiaj, czyż byłby ktoś tak szalony, aby żądać umieszczenia niewiernej lub niewiernej w kryminale. Nie tylko zresz- tą zmiany obyczajów domagają się reformy prawa karnego. Nowe i nieznanne przestępstwa stwarza również rewolucja techniczna. Sam pamiętam również rewolucja techniczna. Sam pamiętam głośno wyrok jednego z sądów, niewinniający od zarzutu kradzieży dwóch magików, którzy dzięki sprytnemu przekre- śnieniu druków, puścili licznik elektryczny w tył zamiast naprzód. Sędzia oparł się na ustawo- wej definicji kradzieży: ukraść — wywodził w motywach wyroku — można jedynie... ru- chomości. A uczeni nie są ze sobą w zgodzie, czy elektryczność jest rzeczą ruchomą, czy też nieruchomą? Zatrzymował bezsens formal- nego przepisu. Musiano zmienić ustawę o elek- tryczności i w którymś z jej paragrafów stwierdzić uroczyście, że „elektryczność jest to rzecz ruchoma”. Podobnie było i z rybo- łóstwem. Tutaj jednak ustawodawca był od początku przewidujący. Artykuł 3 „Ustawy o rybołóstwie” głosi: „W rozumieniu niniej- szej ustawy rak jest rybą”. Przysłowia są rzec- zywiście mądrością narodów: „Na bezrybiu i rak ryba”.

Wszystko to fraszka wobec zadań i trudno- ści ustawodawcy, który stanął przed konie- cznością ukarania przestępców wojennych. Tutaj dawne prawo nie wystarczy. Nasz ko- deks karny wobec zbrodni hitlerowskich jest jak dzida i luk przeciw czołgom i bombie. I nic idzie tutaj tylko o apokaliptyczny wy-

Biernowski przejął samą metodę odrealnionych związków. Odrealnionych podobnie jak w awan- gardzie na podstawie intelektu, nie na podstawie irracjonalnej. Metodę tę przeprowadza jednak na materiale pojęć, na materiale funkcji wypełnia- nych przez zmysły. Nie ma u niego śladu tej roli, którą u Przybysia odgrywa dynamicznie krajoobraz. Jestem przekonany, że w miarę wpływu lat miejsce takie będzie przynależało Biernowskiemu jeszcze do- bitniej, niż dzisiaj możemy to ucynić. Przeprowa- dziwszy metodę w podatniejszy do władania nim świat znaków i pojęć, mógł Biernowski uropić i ukłaskownie wygląd wersyfikacji swoich utwo- rów — w tym jego poezja jest z pozoru tradycyjna. Trzeba jednak pamiętać, jakie doświadczenia, prócz polskiej awangardy, skrywały się w jego lirycie, by wiedzieć, jak bardzo taki sąd byłby niesłuszny i po- wierzechny. Są to doświadczenia nadrealizmu, tu- taj ujętego w rzy sprawdzalności intelektualnej, są dalek doświadczenia Supremacji, buźmi jego „La fable du monde”, ale nie z rzeczy i jakości zmysłowych utworzona, lecz z przymiotów i po- jeń, kojarzonych w sposób tak świeży i nieoczy- kwiany, jak zdarzało się tylko w nadrealizmie. Sło- wem — nieścisłe się najbardziej przodujące dzie- dzictwo poezji międzywojennej.

Tak przeprowadzona próba wyobraźni jest czymś więcej niż sprawą tylko, jest — odbudową słusznej wyobraźni. Tej, która interweniuje we wszystkich składnikach tworzenia poetyckiego, ale nigdzie nie nadaje sobie wyłączności. Która jest władzą por- ządku i wyboru, w równej mierze przepuszczającą ludzkie co artystyczne wartości danej poezji. Bo znów pomyłka byłby sąd, że Biernowskiego wiąże ze światem tylko pewna skomplikowana i bardzo wypracowana więzba stylu. Ta wyobraźnia włada człowiekiem na wskroś nowoczesny, kierując ją ku pew- nej postawie humanistycznej i moralnej, ku pew- nemu stylowi człowieku. Człowiek złożony przede wszystkim z dyscypliny intelektualnej i ścisłości wyobraźni. Wyobrażeń odwołujących się najpierw do sfery humanistycznej, do kregu pojęć i zna- czeń. Człowiek tak samo ziemski i pozbawiony me- tafizyki irracjonalnej, jak w poezji Przybysia. Pod- obnie zajmujący miejsce na ziemi. Dopiero pod tym podkładem intelektu i ścisłości zdolny do bar- dzo ludzkiego i bardzo oczywistych wrzuceń — ojczy- zna, miłość, wierność, pamięć — wrzuszeń, które dla niego tylko przez to stają się ważne, ponieważ osią- gają formę daleką od łatwej bezpośredniości, a mi- mo to jakże bliską prostocie.

Takiej formy wrzuceń Biernowski czy- telnikowi w swoich najlepszych utwach i dia- gnozie jego sprawa wyobraźni jest sprawą naprawdę zwiększającą o pocie każde myślenie jako o najbardziej zarysowanej indywidualności poetyckiej powoje- nego czasu.

Kazimierz Wyka

mo. W przeciwnym razie dojdziemy do oczy- wistego nonsensu, że lepiej było nie wydawać w ogóle fałszywych dokumentów, niż wyda- wać je dla ostatej korzyści.

A zamiast czwartego argumentu mały obra- zek rodzajowy. Pewien mój znajomy pan W., typowa zresztą mała, okupacyjna kanalikka, handlował zawzięcie „kartami pracy”. Ciu- szyły się one wielkim pokupem, ponieważ p. W. zarecał, iż nie tylko są autentyczne, ale nawet odnotowane w najważniejszej ze wszystkich kartotek głównego Arbeitsamtu. Pewnego razu p. W. przyleciał do mnie zu- pełnie zmieniony. Trząst się ze strachu. „Pro- szę pana — mówił — miałem taką straszną przygodę. Umówiłem się z klientem (niele- galny handel bardzo przestrzegaliśmy wytwor- nego słownictwa) w pewnej bramie na Marszał- kowskiej, przynoszę mu nowiutką kartę pra- cy, ten mi wręcza dwa górale, po czym na oczach wszystkich spokojnie wyjmuję rewol- wer i przytyka mi do brzucha. Ludzie się pa- trzą a mój klient krzyczy: „Jeżeli ta karta jest fałszywa, znajdę ciebie choćby pod ziemią i zastrzelę jak psa”. Chciałem mu zwrócić pieniądze — ciągnął dalej p. W., — ale mój klient nie chciał ich wziąć, tylko ciągle ma- chał rewolwerem i kazał mi przysięgać, że dokument jest prawdziwy. Na co się człowiek naraża, kiedy chce pomóc ludzium...”

Czy pana W., który głęboko wierzył, że uczciwie zarabia na życie, karać należy dzisiaj więzieniem od lat trzech do piętnastu? Nie są- dzę. A przecież to tylko jeden z tysięcy win- nych. Wydaje mi się, że pisarze musnęli za- ledwie rzeczywistość okupacyjną, gdzie o mie- dzę granicy był bohaterstwo, łajdactwo i śmie- szność. Wydaje mi się, że obok sędziego prze- de wszystkim pisarz powinien wymierzyć ostateczną sprawiedliwość nie tylko bohate- rom i łajdakom, ale również i szczerom, które wyległa noc okupacyjna. Ale widzę, że wra- cam do literatury...

Jan Kott

## Z życia muzycznego Krakowa

Nowy sezon koncertowy Krakowa nie wszedł je- szcze na właściwe tory. Czekamy jeszcze na wzno- wienie wieczorów Filharmonii. Zadowolniamy się na razie recitalami solowymi o bardzo różnym po- ziomie artystycznym. Poważną klasę reprezentowali goście łódzcy: recital wioncelisty Kazimierza Wilkomirskiego i pianistki Marii Wilkomirskiej, oraz skrzypaczki Grażyny Bacewiczówny. Oboje Wil- komirscy to znakomici muzycy, technicznie i sty- listycznie przygotowani do każdego zadania, dobie- rający starannie program zawsze wartościowy pod względem artystycznym. Duże zainteresowanie wsku- dził też koncert Bacewiczówny, znanej kompozyto- rki, zawierający szereg ciekawych, a mało grywa- nych utworów literatury skrajnych. Niezawodna częstość intonacji, doskonałe opanowana technika instrumentalna i żywy, inteligentny stosunek do każ- dej kompozycji pozwalają nam wyczuć w Bace- wiczównie szerokie horyzonty muzyczne.

Nowością zasługującą na duże uznanie, a wpro- wadzoną dopiero w ostatnich miesiącach, są kon- certy dla młodzieży szkół akademickich. Na jednym z takich koncertów wystąpił (z nowym programem) Wilkomirski, na drugim Zbigniew Drzewiecki i Aniela Szlemińska (koncert Chopinowski). Ten cieszył się szczególnym powodzeniem. Obok szre- gu fortepianowych utworów Chopina, które zna- my z repertuaru Drzewieckiego jako klasyczne wzory jego sztuki wykonawczej, usłyszeliśmy pieśni Chopina, które — nawiasem mówiąc — nie stoją pod względem swej wartości w żadnym stosunku do jego twórczości fortepianowej, zasługują jednak niewątpliwie na to, by je niekiedy przypomnieć z estrady koncertowej. Szlemińska śpiewała je bar- dzo ładnie, z tą prostotą, świeżością i bezpośrednio- ścią, która stanowi właściwy styl jej interpretacji.

W sali kinoteatru „Scala” wystąpił z własnym recitalem śpiewaczka Jadwiga Kenda i klarnecista Józef Madeja. Wcześniej ten przedni nas od razu w atmosferze bardzo odmiennej, a tymczasem dawno prze- zwyciężonej, w Krakowie, czyniącym dawno prze- zwyciężonym, a ściśniętym prowincjonalnym, czy też typowym muzykowanym, które się w naszym dziedzi- stwie określało „jak u cioci na imieninach”. Jest to jedyne określenie, które nasuwa się zarówno w od- miesieniu do stylu wykonawczego, jak i do samego programu tego koncertu. Nie było tam w ogóle muzyki, nie było jakiegokolwiek myśli przewodniej; piosenki w stylu salonowo-kiczowatym sąsiadowały z ariami operowymi Meyerbeera i Rossiniego, a kom- pozycje klarnetowe Madeji (tu mówią za siebie już same ich tytuły: „Rozpacz”, „Dzika zabawa”) nie mogą byćbrane na serio. Kenda nie posiada — poza znakomitą aparaturą zewnętrzną — żadnych kwalifi- kacji na śpiewaczce: jej głos jest bezbarwny, bez żadnego blasku i świeżości, absolutnie bez zdol- ności modulacyjnych i różnic dynamicznych; jej możliwości interpretacyjne nie wystarczają nawet na tak malutkiego formatu program, jak ten, który wybrała; jej technika — co najmniej wątpliwa (brak wszelkiej precyzji w koloraturze, wadliwa technika oddechu). W tym stanie rzeczy sprawa jest z góry przegrana, mimo pewnej niewątpliwie muzy- kalności, dobrej dykcji i paru ładnie użytych wy- sokich tonów. Madeja wykazał technikę, która może być pożyteczna i cennym wkładem na terenie zespołu orkiestralnego, ale jako solista nie potrafił zainteresować pod względem czysto muzycznym. W sumie: koncert, który nie powinien być się od- być. W okresie, gdy rozpoczyna się na wielką miarę zakrojona akcja umykalniana mas, mająca przede wszystkim na celu wyrobienie artystycznego smaku w muzyce, nie wolno nam tolerować imprez, które smak ten deprawują. Konieczna będzie w przysz- łość z tego punktu widzenia ścisłość, niż dotych- czas kontrola imprez przez Związek Zawodowy Mu- zyków: ze względu na poziom wykonawczy, repre- zentowany przez artystów i na sam program. Czas już ostatni, by imprezy te scentralizować w Biu- rze Koncertowym Związku jako w tej placówce, która ponosi odpowiedzialność za całe życie kon- certowe. Bez tej kontroli i bez planowania na szre- roką skalę radykalne uzdrowienie naszego życia koncertowego nie jest do pomyślenia.

Stefania Łobaczewska

W poprzednim (46) numerze „Odrodzenia” z dnia 14 października: Jerzy Borejca: Ostrożnie z bombą atomową. — Roman Bratny: W sprawie powrotu wojsk naszych z Zachodu. — Stefan Otwinowski: W rocznicę Pruszkowa. — Ewa Maleczyńska: O pol- skich tradycjach naukowych. — Tadeusz Peiper: O VII-jej symfonii Szostakowicza. — Andrzej Nowicki: Ślad Cherubina. — Janusz Kasperski: Kiedy jabłka się złocą... — Jan Reycheim: Mit zbrojniczy. — Artur Sandauer: Prawda w oczy. — Celina Bobińska: O właściwej stanowisko. — Zdzi- sław Wiktor: Nauka, miłość, głód. — Js: Kronika kulturalna ZSRR. — Jan Kott: Po prostu. Smok i śpiące królewny. — Zb: Przegład prasy. — Kro- nika ilustrowana. — mp: Polska za granicą. — Zy- gmund Fijas: Nie jesteśmy workami siana. — Zb: Zagadnienie odbudowy we Francji. — Korespon- dencja (Józef Reiss, Mieczysław Grad). — 4 ilustra- cje. — 8 stron.



## Przegląd teatralny

### ŚMIESZNA TRAGEDIA

Rzadko obecnie się zdarza, aby recenzent po premierze zabierał się do pisania recenzji ze szczerą satysfakcją, pewny, że nie będzie musiał dokonywać licznych wybiegów i zarówno o sztuce, jak o grze aktorów wyrażać się ostrożnie, okólnie i dyplomatycznie. Krakowski „Stary Teatr” przedstawił nam sztukę Peyret-Chapuis „Nieboszyk pan Pic” w przekładzie Julii Rylskiej, w reżyserii Warneckiego — dokonując trafnego wyboru i dając dobrą grę zespołu.

„Nieboszyk pan Pic” szedł z powodzeniem w Paryżu przed samą wojną. Autor jego obecnie nie ma jeszcze czterdziestki. Czy jest to sztuka o współczesnej problematyce, o zagadnieniach intelektualnych, gdy w każdej kwestii szukamy ostrych i dociekliwych określeń, gdy podkładamy pod zdania niepokojące nas dzisiaj znaczenia? Bynajmniej. Główną wartością tej tragikomedii jest poczucie marszu w czasie, oddalania się od postaci, które cierpią na scenie, śmiech zmieszany z łitością, przy czym więcej jest śmiechu niż łitości.

Można zadać sobie pytanie, ilu z widzów bawi się i bije brawo dlatego, że odczuwają inność czasu, jakim żyją bohaterowie i niesłychaną odległość tej atmosfery prowincji francuskiej — a ilu chłonnie jako „kawałek życia”, szukając podobieństw do ciotek, wujków i teściowych. Ten drugi gatunek w Krakowie musi być dość liczny, a na pewno jest dotychczas bardzo liczny we Francji. Bo jest to nie tylko opowieść o rodzinie mieszczańskiej w stylu zbliżonym nieco do Zapolskiej, chociaż o wiele „cięższym”. Jest to równocześnie rodzina, jaka występuje u Mauriaka, zobaczona mniej patetycznie. Co tu mówić, jest to rodzina, która stanowi temat osiemdziesięciu procent francuskich powieści. Na sąsiedniej ulicy mieszkają może rodzina, która otrula się grzybkami, „Roman d'un Triehem” Sazzy Guiry. Stosunek do tej rodziny zadecydował o powstaniu wielu buntowniczych prądów w marlarstwie i poezji.

Słowem jest to temat niemal klasyczny.

Ciało pana Pic, który za życia był adwokatem w prowincjonalnym mieście francuskim, leży na górze. Na parterze tymczasem odbywa się widowisko namietności, które ta śmierć wywidła z ukrycia. Ważki, które tu się splatają, są nam z literatury doskonale znane. Mogłoby się na ich przykładzie uczyć studenci przedchodzący właśnie kurs literatury końca XIX i początku XX wieku. Spróbujmy je rozplatać.

1) Wzajemne dręczenie się członków rodziny, skazywanie na siebie i dźwigających to jarzmo od lat.

2) Hamowanie, tamszenie, niedomawianie wrogoci, która nagle wybucha.

3) Zazdrość.

4) Ktoś, kto tęskni za przestrzenią, za powietrzem, kto marzy, aby wyrwać się „w siną dal”, nie bardzo zresztą wiedząc, na czym to ma polegać. Gdyby mu się udało, kto wie, czy nie zostałby artystą (jeden z najbardziej wzorowych sposobów na „evazion”) i nie napisałby „Ziemskich pokarmów” albo „Syna marnotrawnego”, jak Gide.

5) Bezustanna obawa skandalu.

6) Kobieta „z zewnątrz”. Postać „kobiety z zewnątrz” zasługiwałaby właściwie na obszerne studium. Nie-matka, nie-zona i nie kandydatka na żonę. Kobieta znajdująca się całkowicie poza obrębem uporządkowanego życia rodzinnego. Kobieta wolna, budząca grozę, szepoty po kątach, ale tyleż ciekawości. Fascynujący urok grzechu. Czasem jest ona demonem, wspaniałą lwicą buduiarów, czasem aktorką — zawsze „kobieta upadła”, przy czym okazuje się, że też jest człowiekiem i to nieraz bardziej szlachetnym niż ci, którzy z wypiekami wstydli i zaciekawienia śledzą ją przez szpary w żaluzjach, kiedy przechodzi ulicą. Tutaj wcieliła się skromnie w zwyczajną prostytutkę i naturalnie w prostytutkę szlachetną.

Jak widać, ten „théâtre bourgeois” ma używane wielokrotnie kukiełki. Pytanie, czy jakikolwiek dobry teatr bez takich kukiełek jest możliwy. Nie bardzo wierzę w teatr bez konwencji. Kunszt zaley od tego, jak się kukiełkami posuwa. Peyret-Chapuis robi to znakomicie. Jest to daleko już posunięty etap manewrowania tymi postaciami i namietności. Pamiętam „Asmodeusza” Mauriaka — autor jeszcze pobliż to na poważnie — co wytworzył nudę. Peyret-Chapuis bawi się — i zmusza salę do ciągłego śmiechu. Bawi się nie do tego stopnia jednak, aby widowisko stało się satyrą, jak lubiane w Warszawie przed wojną satyry na fin de siècle. Te postacie i namietności — czują się — są jeszcze żywe, jeszcze obecne w życiu Francji.

Och, bo tak: część widzów patrzy na to jak na egzotykę przeszłości. Patrzy poprzec obrazy zniszczeń i śmierci, które dane im było oglądać, patrzy poprzec swoje przeorane, zmienione życie, złazone już odtań z publiczną sprawą. Pewne uczucia i namietności ludzkie nie są im obce, ale należą do kategorii takiej, jak np. zagadnienie czy łapieć jeść chleb z serem czy z marmeladą. Sztukę traktującą o tym zagadnieniu są gotowi uznać, jeżeli autor daje do poznania, że tych zagadnień — jak np. zagadnienie syna tyranizowanego przez matkę czy meza-pantoflarza — nie traktuje poważnie.

Pomyślmy jednak w tysiącach francuskich i angielskich miasteczek są setki tysięcy domków, gdzie za zielonymi żaluzjami rozgrywa się takie właśnie dramaty — dramaty przemilczeń, szarpania się, domowych scen. Są tam etuzestki, zwłazne głupim, lżami, są zmartwienia, że „taka” wybrała chodzik przed oknem dla swoich przechadzek. Burzliwa historia ostatnich lat przestrasza nam prosty fakt, że i w Polsce ludzie nie żyją tylko czytaniem politycznej prasy i dyskutowaniem posunię ministrow Minca i Sztachelskiego, ale mają swoje sceny z teściową czy mamą i zazdrośne żony. Przydałoby się i u nas komedia obyczajowa, która trochę smagnąłaby tych, co w „Panu Piku” podpatrują „kawalki z życia”. Wątpliwe jednak czy powstanie. Nie mamy swoich kukiełek.

Wieg dobra sztuka — ale niewiele teatrom w Polsce można by ją polecić. Wymaga dobrej obsady, humor jest delikatny. W „Starym Teatrze” dźwignęły ją: niezrównana Maria Duleba, która stworzyła wyjątkowo bogatą, pełną wewnętrznych niespodzianek postać matki i Ewa Kunina, której udało się przekonać publiczność, że Edyta, mimo bardzo godnych pozorów, jest tylko idiotką. Brawa przy podniesionej kurtynie zbierał też Warnecki i Ciecierski. W mniejszych rolach wystąpili: Helena Chaniecka, Hanna Zielińska i Jadwiga Borzewska — oraz wysoce zabawny przedstawiciel zakładu przegrzobowego, Adam Mularczyk. Reżyseria Warneckiego nie pozostawia nic do życzenia; wydobyl ze sztuki wszystko — jak się zdaje ani jedno słowo autora nie przeszło bez teatralnego efektu. a reżyserowi w pracy pomogły dekoracje Andrzeja Pronaszki.

Czesław Miłosz

### W TEATRZE LALKI I AKTORA

Teatr lalki i aktora „Grotteska”. Baśń o Szewcu Dratewce, według M. Kownackiej, napisał Wł. Jarrema. Opracowanie muzyczne J. Maklakiewicza.

Druga z kolei sztuka wystawiona przez Władysława Jarema w stworzonym przez niego krakowskim teatrze lalki i aktora „Grotteska” wykazuje, że nazwa ta nie jest grą słów, ale rzeczywistym zażożeniem, dającym ciekawe możliwości realizacji scenicznego eksperymentu. Z samego już założenia wynika wieloplanowość sceny, a meyerholdowskie koncepcje architekttoniki inscenizacyjnej i inne zdobyte środki są tu łatwe do przeprowadzenia prostymi środkami. Ułatwia to skala i różnorodność materiału scenicznego: zestawienie gry człowieka i lalki, Bo lalka, czy to jest marionetka (prowadzona z góry) czy guignol (prowadzony z dołu), gra nie tylko słowem i ruchami, ale wyglądem i skalą.

Nieuprzejmie jest zaczynać od krytykowania. Za to pochwały i uwagi na końcu zostawia lepsze. dobrze zasłużone w pamięć. Otóż, skoro mowa o skali lalki, to zaznaczyć należy, że niezależnie

od bogactwa ruchów wymagają one tempa, które porównać należałoby z tempem kina; w ogólnej koncepcji reżyser za mało to uwzględnił. Okres wahań ciał o małej masie jest krótszy; dlatego każde postawienie lalki na scenie łatwo traci dłużyzną. Laleczka powinna zasadniczo przechodzić. Niedopuszczalna jest gra statyczna tam, gdzie jedynym elementem życia jest kinetyka. Klasycznym wzorem teatru lalki może być szopka. W „Szewcu Dratewce” błędna jest poza tym konstrukcja sztuki, która ma jakby 3 konce. Królewna mówi swoje „owszem” po uwolnieniu z niewoli u smoka. Po tej kadencji następuje jednak jeszcze jedna, świętna zresztą scena na dworze królewskim, zakończona ojcowskim przywoleniem. Widz już wstaje dając sobie brawo. Tymczasem... jeszcze jeden raz: jeszcze epilog na wsi (doskonały dekoracyjny i ruchowy). Czy nie można by pierwszego „owszem”

## Jubileusz słowiański

Czesi i Słowacy, a z nimi cała Słowiańszczyzna święcą w tym roku wielki jubileusz: 150 rocznicę urodzin jednego z założycieli nowoczesnego słowianoznawstwa, Pawła Józefa Szafarzyka (1795—1861). Postać to naprawdę niezwykła i nie bez znaczenia również dla dziejów kultury polskiej.

Wielki Słowak, Pavel Jozef Safarik (tak wyglądała właściwa pisownia jego nazwiska, przez Czechów przerobiona na Šafařík, stąd polska forma Szafarzyk), pierwszy w Słowiańszczyźnie i w Europie dął systematyczny przegląd całej ówczesnej wiedzy o sprawach słowiańskich. Zaslugi Szafarzyka są pod tym względem ogromne i nie mają sobie równych, a dodać trzeba, że niektóre jego prace do dziś nie straciły wartości. Jakkolwiek zasługa pierwszych prac słowianoznawczych w XIX w. należy się nauce polskiej, niedługo potem, dzięki Szafarzykowi na pierwsze miejsce wysunęli się w tej dziedzinie Czesi — i miejsce to zatrzymują oni do dzisiaj, dzięki niezastąpionym w swoich dziedzinach dziełom uczonych takich, jak Niederle, Máchal, Bidlo, Horák i inni.

Pierwszym wielkim dziełem Szafarzyka o znaczeniu ogólnosłowiańskim była jego historia języków i piśmiennictw słowiańskich, wydana po niemiecku w r. 1826: „Geschichte der slavischen Sprache und Literatur nach allen Mundarten”. Po wcześniejszych, ale o wiele skromniejszych pracach autorów polskich tego rodzaju, np. po francusku wydanej J. Potockiego z r. 1793, J. Kossakowskiego po polsku („Rzut oka na literaturę czeską i związek języków słowiańskich”) z r. 1804, Majewskiego, Lelewela i Surowieckiego, dzieło Szafarzyka pierwsze przyniosło systematyczny i według stanu ówczesnej wiedzy pełny przegląd zagadnień językowych i piśmienniczych wszystkich narodów słowiańskich (z wyjątkiem Bułgarów, o których odrębnym istnieniu wtedy jeszcze w Europie nie wiadano). Rozdział polski, oparty głównie na pracy F. Bentkowskiego (1814), doczekał się niebawem przychylniej oceny w Polsce, i to pióra Mickiewicza, który miał do tego zresztą tym większy powód, że w dziele Szafarzyka znalazł i o sobie pochlebne wzmianki. Zupełną nowość w nauce ówczesnej, statystykę Słowiańszczyzny, zaczęły przedkuroywać pisma polskie, a Bandtkie użytkował ją w trzecim wydaniu swych „Dziejów narodu polskiego”. Słowem, „Historia języka i literatury słowiańskiej według wszystkich narzecz” była wydawnictwem epokowym na owe czasy.

Już sam tytuł wskazuje stanowisko autora: dla niego, jak i dla wielu innych ówczesnych entuzjastów sprawy słowiańskiej, zwłaszcza wśród Czechów, Słowianie byli jednym narodem i mówili jakoby jednym językiem, a poszczególne słowiańskie języki literackie były tylko narzeczami. Postawa ta zrozumiała u narodu tak nielicznego, jak Czesi: pragnęli oni jak gdyby zwiększyć własną liczebność przez zlanie się z pozostałymi braćmi plemiennymi. Inaczej i właściwie na rzecz tę patrzyli słowianoznawcy polscy, czy (nie fachowiec zresztą) Kossakowski, piszący o „związku języków słowiańskich”, czy też Surowiecki — „Śledzenie początków narodów słowiańskich”, w „Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk”, 1824 (rzecz skrytykowana zresztą przez Szafarzyka w recenzji niemieckiej z r. 1828).

To pierwsze wielkie dzieło znakomitego uczonego, jak i parę mniejszych z tego okresu, było napisane po niemiecku — taki był los „budzicieli” narodu czeskiego, że w niemieckiej mowie musieli zwracać się do swych rodaków, gdy chcieli pisać prace naukowe. I patriarchy sławistyki, znakomity Dobrowský, niemal wyłącznie pisał po niemiecku. Ale właśnie po śmierci Dobrowskiego (1829), koło r. 1830, język czeski w końcu zyskał sobie więcej praw i nabył już pewnej oglady literackiej. Szafarzyk, który dotąd nie bardzo miał z czego żyć i tułał się po obczyźnie, na różnych chwilowych posadach, uzyskał od r. 1833 możność przeniesienia się do Pragi, gdzie zapewnio mu stałą zapomogę ze środków uzyskanych od społeczeństwa — właśnie w tym celu, aby mógł odtąd publikować swe prace po czesku.

Istotnie, w języku czeskim uczony ten ogłosił w r. 1837 główne i naprawdę pomnikowe swe dzieło — „Slovanské starožitnosti” („Starożytności słowiańskie”). Dla uwodnienia zasadniczej tezy, że Słowianie są obok Greków, Rzymian i Germanów pramieszkańcami

zastąpić jakimś „zobaczmy”? Epilog z kinematograficzną zwinnoscia łączy się z poprzedzającą go sceną; jest klasyczna „kadencja” znana z koncertów skrzypcowych.

Ilustracja muzyczna J. Maklakiewicza wyklucza możliwość odczuwania dłużyzn, o których wspominałem. Radość słuchania łączy się z radością oglądania dekoracji, w których czuć lwi pazur młodego A. Bunscha. Dekoracje ostatniej sceny pięknie wiencają całość. Lalki Jaremuwej są ciekawe i żyją własnym, nienaturalistycznym życiem. Jeśli chodzi o poruszanie i grę, wyróżnić musimy króla i piątunkę, której wizja przewijająca się przez całą sztukę wiąże się z melodyjnym, kolysankowym rytmem niani, co zostawia niezatarte wspomnienie. Wyszkolenie młodego zespołu, który w tak reżymowym czasie opanował technikę marionetki i guignolu, to ładne osiągnięcie, które powinno zachęcać do współpracy zarówno aktorów, jak literatów, dekoratorów i muzyków. Dobry poziom przedstawień, pozostawiających w pamięci nastroj jak z bajki, czy sru, każe nam tym więcej wymagać od tych, co podjęli się tak wdzięcznego trudu.

Jacek Puget

## PRZEGLĄD PRASY

Czy rzeczywistość potwierdza soelnictwem nazyczny postulat demokracji o roli kultury w życiu narodu? Odpowiedzi na to pytanie nie da sam fakt istnienia Ministerstwa Kultury i Sztuki, tak jak opracowanie i przyjęcie programu nie świadczy jeszcze o jego realizowaniu. Pozycja sztuki, a przede wszystkim literatury, ze względu na jej ścisły związek z procesem przemian społecznych jest sprawdzianem prawidłowości kształtowania się nowych warunków.

Adam Ważyk omawiając w nr. 7 „Kuznicy” zjazd literatów i jego społeczne konsekwencje poddaje pod rozwagę charakter odbywających się przeobrażeń kulturalnych. Trudno nie przyznać racji jego bardzo poważnym zastrzeżeniom, co do słuszności interpretowania i urzeczywistniania programu kulturalnego demokracji. Uspokojenie literatury nie oznacza przeczeń podporządkowania jej jakimś wyznaczonym organizacyjnie czynnikom społecznym, lecz oznacza — związane dzieła z nurtem problematyki społecznej, przede wszystkim przez umożliwienie pisarzowi zajęcia przezeń odpowiedniego miejsca w społeczeństwie. Nie od urzędników, chociażby posiadali wysokie kwalifikacje, zależy charakter zamowienia społecznego. A tymczasem „nowy stosunek do ludzi sztuki na razie przeczodził dziecięcą odrę. Mamy moc niezliczoną nowego typu mecenasów, którzy uważają się za powołanych do wiązania literatury z życiem, opiekunów ludowych, mentorów wojewódzkich i powiatowych. Poczują literatów o czym mają pisać, jak mają pisać i w ogóle jak się mają zachowywać. Pewien wicewojewoda żyjący sobie jednoaktówkę do teatrów amatorskich, ifny dygnitarz chciałby być na oczekaniu akuzerem wielkich dzieł epickich. Świat literacki sprawia wrażenie chorego z urोजना, którego każdy przechodzień obleda receptami”.

Od właściwego stosunku społeczeństwa do literatury zależy jej rozwój i wpływ, jaki ona może wywrzeć na wychowanie człowieka. Formy organizacyjne życia literackiego ten stosunek mogą należycie ukształtować. Czy dotychczasowe doświadczenia dają pewność, że przestarzały, wsteczny, protekcyjny charakter tego stosunku zniknął zupełnie? Czy sprawa organizowania literatury odbywa się zgodnie z postulatami demokracji?

„Odnowiony rok temu Związek Literatów, pomysłany jako instytucja samorządu kulturalnego, nie otrzymał odpowiedniego poparcia. Polityka sfer rządowych w tej sprawie była od początku niejasna i staje się coraz waplnawsza. Czy obojętnie podziemnego KRNu zostały spełnione? Stworzenie funduszu literackiego i oddanie go do dyspozycji Związku dalaoby niezbędną bazę materialną do utrwalenia moralnego autorytetu zawodu pisarskiego, a na to wcale się nie zanosi. Zarząd tymczasowy Związku Literatów przekazał stałemu zarządowi domy mieszkalne i odpocynkowe, pustą kasę, dume, że Związek zajął jakies miejsce w społeczeństwie, gorycz zawiedzionych nadziei, wstyd, że nie może zapewnić powieściopisarzom, a cóż dopiero lrykom, takich środków egzystencji, które by uwolniły ich od konieczności zajmowania się inną pracą zarobkową”.

Przelamanie szkodliwych społecznie przyzwyczaj jest podstawą odbudowy. Przelamanie to nastąpić winno we wszystkich dziedzinach a przede wszystkim tam, gdzie przyszłość powstaje. Kształcenie młodzieży nie jest tylko zagadnieniem objętych reformą oświatową, lecz warunkiem przemiany psychicznej i społecznej kraju.

Stefan Żółkiewski w tymże numerze „Kuznicy” stawia niezwykle ważny postulat reformy szkolnictwa wyższego jako światopoglądowej kuchni przysięgi inteligencji. Obecnie „wstępcie ideologiczne naukowe panujące w wielu seminarjach i pracowniach” hamują ewolucję umysłową pokolenia, które literaturę poznaje metodą biograficzną, historyczną, psychologiczną, a „z naturalistycznego traktowania psychologii wynosi niechęć do reform ustrojowych i społecznych”.

Demokracja winna zabezpieczyć sobie wpływ na młodzież, wyznacając odpowiednich ludzi, którzy zapoznają ją z tym wszystkim, czego potrzebuje współczesny człowiek, aby bez przesady pojmować otaczającą go rzeczywistość społeczną. „Na uniwersytetach musi znów i to stokroć silniej niż do 1939 r. rozgorzeć walka ideologii naukowych. Trzeba w niej wyrabiać charakter intelektualny i otwarte głowy nowych fachowców. Trzeba zerwać z tolerowaniem myślowych przyzwyczajów i starzyny, sui generis ciemnoty na naszych uniwersytetach”.

Powstanie takiej inteligencji, która by była istotnie i trwale związana z całym życiem narodu, rozumiała jego mechanizm, a przez to właściwie pojmowała swoje obowiązki i prawa, inteligencji nie jako odrębną grupę, lecz jako części „jednolitego społeczeństwa o niezróżnicowanym poziomie kulturalnym” jest przedmiotem rozważań Romana Lutmana w nr. 6 katowickiej „Odry”. Przedstawia wspaniałą drogę wyodrębniania się warstwy inteligentnej w Polsce, ze szczególnym uwzględnieniem Śląska, gdzie proces ten w okresie międzywojennym właściwie dopiero się rozpoczął, Lutman dochodzi do słusznego wniosku, że cechą inteligencji polskiej (nawet pierwszego jej pokolenia) był szkodliwy separatyzm (w wymiarach ogólnopolskich — społeczny, a w skali śląskiej separatyzm dzielnicowy), który wobec przemian, jakie wojna przyniosła, musi ustąpić demokracji, najpełniej rozumianej. „Zagadnienie inteligencji jako wyodrębniającej się samodzielnej klasy społecznej, bez kontaktu z masami ludowymi, nie odżyje...”

Masom ludowym, budzeniu ich świadomości kulturalnej służy dotychczasowy dwutygodnik, a obecnie tygodnik „Wies”.

Redagowana przez zespół jednolity światopoglądowo „Wies” może spełnić ważną funkcję przyspiczenia w wyrównaniu tych różnic strukturalnych, jakie na skutek opóźnienia przemiany społecznej w Polsce powstały. Pisarze chłopscy skupieni przy „Wsi” są w tym szczęśliwym położeniu, że nie potrzebują walczyć o miejsce w hierarchii społecznej, gdyż lud — ich naturalna podstawa, ma pełne, nabyte wielowiekową niemożnością zaspokajania, zrozumienie dla spraw kultury. Powstanie oddziału Wiejskiego Związku Literatów, uniezależnionego materialnie przez organizacyjne powiązanie ze Związkiem Samopomocy Chłpskiej, jest dla sprawy upowszechnienia kultury oraz jej nasycenia nowymi, świeżymi wartościami wydarzeniem, którego wagi nie sposób nie docenić. Należy jednak uważać, by ewolucja kulturalna wsi nie zmierzala w kierunku nadmiernej odrębności, co mogłoby opóźnić proces ujednoczenia się potrzeb, celów i spełnienia całego społeczeństwa.

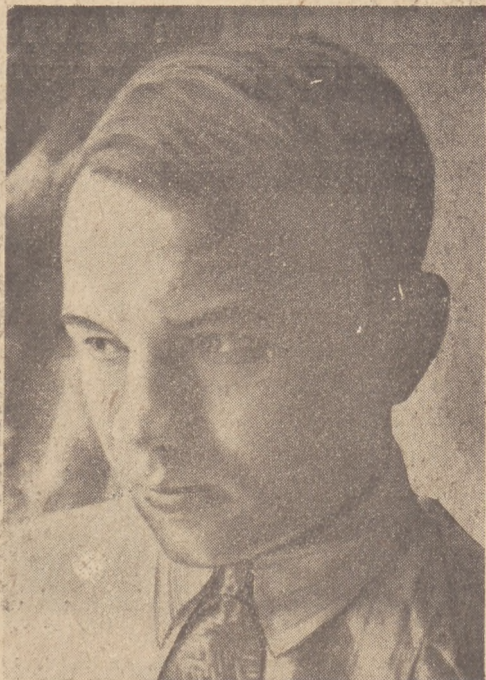
Dlatego doceniając w pełni słuszność postulowanego i realizowanego przez „Wies” programu kulturalnego, nie uważamy za celowe różnicowanie pisarzy według ich pochodzenia, jak to czyni Jan Aleksander Król, przeciwstawiając „literatom pochodzenia mieszczańskiego” literatów chłopskich, lub klasowe kategoryczne wyodrębnianie pisarzy chłopskich, jak to usiłuje Stefan Lichański: „Pisarz chłopski jest współczesnikiem aktywny klasy chłopskiej, walczącej o zapewnienie sobie należycygo stanowiska w całokształcie naszego życia państwowego”.

Nowa struktura społeczna, ku jakiej mierza ustroj demokracji, wyklucza walkę klas. A w dziedzinie kultury, jeśli walkę dopuszcza, to walkę o wartość najwyższą, a te są z każdego miejsca w społeczeństwie jednakowo widoczne. Ze w walce tej pisarze pochodzenia chłopskiego odnoszą zwycięstwo, wie każdy, kto zna współczesną polską literaturę i jej najrudniejszą gatunek: poezję. Wie o tym również redakcja „Wsi”: rozumie ona ogólnokulturalną rolę dobrej chłopskiej poezji drukując utwory Józefa Ozgi-Michalskiego.

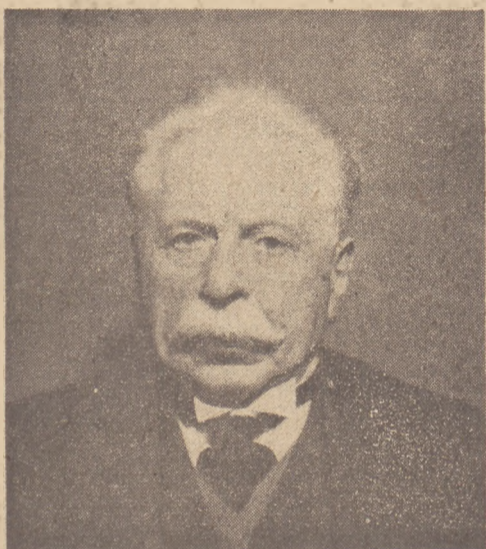
Henryk Bałowski



**Kronika ilustrowana**  
STRATY KULTURY POLSKIEJ



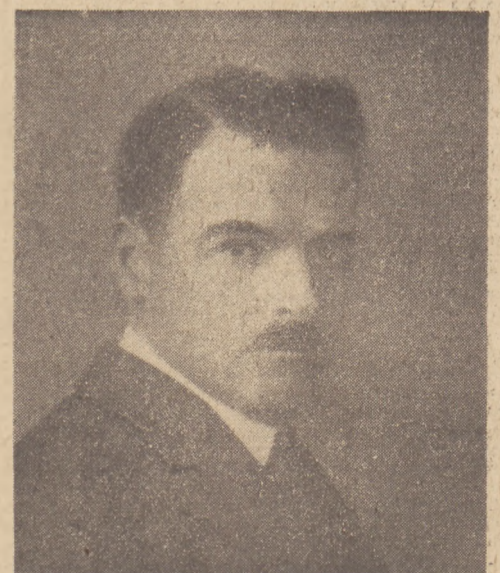
**JÓZEF CZECHOWICZ**  
poeta



**SAMUEL DICKSTEIN**  
matematyk



**STANISŁAW DUBOIS**  
publicysta i polityk



**MIECZYSLAW TRETER**  
krytyk i historyk sztuki

**Kronika angielska**

**Anglicy widziani przez Francuza.** W swojej książce „The english way” („Angielska droga”) Pierre Maillaud, wyzyskując swój długi, bo czternastoletni pobyt w Anglii, stara się scharakteryzować Anglię tak, jak przedstawia się ona oczom cudzoziemca. Książka zawiera przyjazną, ale dość surową krytykę angielskiego sposobu myślenia. W Anglii, według Maillauda, odczuwa się brak społecznych ciśnień. Stosunki pomiędzy ludźmi nigdy nie osiągną wysokiej temperatury, nic nie jest domyślane ostro do końca, wszystko jakby się wymija. Słowo „fancy” — które oznacza niechęć umysłu do poddania się na stałe prawdom rzeczywistości — jest typowe dla angielskiego języka i wyobraźni. Anglię w jej politycznych posunięciach zbyt często symbolizuje dickensowski Micawber: tak jak on, angielscy politycy odmawiają uparcie przyznania się do niewygodnych faktów i mają nieraz skłonność do nieodpowiedzialnego optymizmu. Uczucia i przesady decydują nieraz o ich poglądzie na sprawy międzynarodowe. Np. Mussolini wywołał w Anglii o wiele więcej gniewu i oburzenia niż dozbrajający się gwałtownie Hitler... Maillaud zapytuje, czy te cechy angielskiego myślenia nie wpłyną na całkowite odwrócenie się Wielkiej Brytanii od Europy, w pogoni za „globalną” polityką imperium. Taką rezygnację uważa za lekkomyślność i dowód politycznego „micawberyzmu”.

**Poeci polegli na wojnie.** Wielka Brytania straciła w tej wojnie szereg wybitnych młodych talentów. Szczególnie dwaj poeci są wysoko cenieni. Są to Sidney Keyes, Walijszyk, który poległ w Afryce w wieku lat dwudziestu (ostatnio ukazały się jego „Collected Poems”) i Allan Lewis, który zginął w Indiach, autor kilku tomów wierszy („Raiders' Dawn”, „The Last Inspektion”, „Ha! ha! among the trumpets”). Poza tym na liście strat znajdują się poeci: Richard Spender, Keith Douglas, Stephen Haggard.

**Nowa Australia.** Książka H. Johnstona „Pacific Partner” przedstawia wkład Australii w wojnę. Mało komu wiadomo, że Australia przekształciła się z kraju rolniczego w przemysłowy. W roku 1939 miała załadować cztery fabryki broni z kilkuset robotnikami. Teraz w sekcjach fabryk pracuje 600.000 robotników. Australia produkuje samochody i czołgi, czego nigdy nie czyniła dotychczas i zbudowała ogromne stocznie. Ograniczenia produkcji na potrzeby ludności cywilnej były tak wielkie, że żołnierze australijski przysyłali do domu pastę do zębów, zyletki, papierosy, czekoladę i mleko skondensowane, utrzymując, że są o wiele lepiej zapatrzeni niż ich rodziwy.

**Tematy wojenne.** Ukazuje się już obecnie sporo powieści, nowel i wierszy na tematy wojenne, przy czym autorami są młodzi ludzie walczący w czasie wojny w szeregach armii brytyjskiej. Jakkolwiek niektóre z tych utworów są udane, krytycy przestrzegają młodych pisarzy przed zbyt pośpiesznym podejmowaniem tego rodzaju tematów. Krytyk „Times'a” pisze: „Autobiograficzne opisy szkolenia wojskowego, chwytane na gorąco sprawozdania z walk, historie ratowania się ze stropodowanych statków — jakkolwiek mogą być żywe i wzruszające — rzadko są literaturą. Nie nieuczciwość i nie konspiracja patriotycznych uczuć sprawiły, że takie szkice i wrażenia spotykały się ze zbyt przychylną oceną: to raczej szczerze przejęcie się wojną przez czytelnika nadawało im wartość, która mylnie brano za estetyczną”. Krytyk „Times'a” przypominia, że dobre dzieła literackie o poprzedniej wojnie pojawiły się nie wcześniej niż w kilkanaście lat po niej. Subiektywna potrzeba pisania o wojnie nie wystarcza. Potrzebny jest dar obiektywnego spojrzenia, a osiąga się to tylko przez szczególny stan uporządkowanej wyobraźni, czemu sprzyja czas.

**Kultura klasyczna.** Ukazał się szereg książek będących owocem studiów nad starożytną Grecją i Rzymem; m. in. „Filozofia Grecji i Rzymu” Frp-

dericka Coplestona, „Historia późniejszej greckiej literatury” prof. F. A. Wrighta (od 323 r. przed Chr. do 565 po Chr.), „Horacy i jego poezja liryczna” Wilkinsona, oraz powieść Jacka Lindsaya „The Barriers are down” („Runieły zapory”), mająca za temat spotkanie się trzech sił: starożytnego Rzymu, chrześcijaństwa i barbarzyńców w Europie zachodniej piątego wieku.

**Droga do wolności.** „The road to liberty” francuskiego autora Jeana Brihaca opisuje przygody grupy jeńców francuskich w Niemczech i ich ucieczkę z Prus Wschodnich do Kowna. Interesująca jest analiza wstrząsu, jakiego doznali Francuzi zetknawszy się z bestialstwem niemieckim. Najciemniejszy, nawet chłop francuski, był zdumiony i przerażony, gdy zobaczył Niemców, lubujących się w bezużytecznej podłości i okrucieństwie, traktowanym jako sztuka dla sztuki”. Francuzi jako ludzie cywilizowani wierzyli, podobnie jak ich przodkowie, w przyrodzoną dobroć człowieka. „W przeciwieństwie jednak do swoich przodków zaczęli wątpić o niekczemności tyranów” i dopiero ciężkie doświadczenia wyprowadziły ich z błędu Angielskiego czytelnika, który skłonny jest zbrodnie niemieckie przypisywać grupie przywódców nazistowskich, Brihac poucza, że znieprawienie ogarnęło szerokie masy narodu niemieckiego. „Wdziakiem — powiada — piętnastoletnich chłopców sprawujących na ulicach funkcje policyjne”.

**Wojna i Watykan.** „War and the Vatican” — to tytuł książki napisanej przez Camille M. Cianfara, korespondenta „New York Times”. Przedstawiona tu jest dyplomacja watykańska czasu wojny, jak też polityka Italii w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

**„Hitler dotrzymał obietnicy”** — „The Promise Hitler kept”. Jest to książka Stefana Szende o Polsce, jako miejscu zagłady pięciu milionów Żydów, zarówno polskich jak też zwiezionych tutaj z różnych krajów Europy. Autor, Węgier, spisuje w niej zeznania Żyda polskiego Adolfa Folkmanna, któremu udało się zbiec ze Lwowa w lipcu 1943 roku, uzyskać w Warszawie dokumenty robotnika organizacji Todta i przedostać się przez Berlin do Norwegii, a stamtąd do Szwecji. Folkmann-Szende opisuje znane polskiemu czytelnikowi fakty, jednak zabarwienie ich wydaje się być dość dalekie od obiektywizmu. Jako przykład warto zacytować, że jak twierdzi Folkmann, we Lwowie akcja likwidacyjna początkowo była dziełem Polaków i polskich Ukraińców (dosłownie), gdy wiemy, iż we Lwowie nie było nawet polskiej granatowej policji, a różnica pomiędzy Polakami i faszystami ukraińskimi (polscy Ukraińcy) jest dość wyraźna. Takie przekreślenie faktów budzi smutną refleksję: jest to cena, jaką płacimy za zatajony, bierny antysemityzm pewnych kół społeczeństwa polskiego w czasie wojny.

**„Łosy człowieka”** „The Condition of Man” — jest to tytuł książki Lewisa Mumforda, która cieszy się dużym powodzeniem. Autor przedstawia w niej duchowe i intelektualne prądy, które kształtowały świat zachodni od czasów przedokratycznej Grecji aż do r. 1944.

**„Aviation”** „Lotnictwo” przez H. E. Whimpersa podaje szczegóły rozwoju badań technicznych, zmierzających do udoskonalenia samolotów w czasie obecnej wojny. Autor zastanawia się nad przyszłością cywilnego lotnictwa. Jest pełen optymizmu jakkolwiek oblicza, że 10.000 maszyn wystarczy do obsłużenia wszystkich linii lotniczych, określając przeciętną trwałość samolotu na pięć lat. Oznacza to, że co roku powinno przybywać 2.000 nowych maszyn, a jest to mniej niż wynosiła tygodniowa produkcja samolotów w W. Brytanii i Stanach Zjednoczonych w ostatnim roku! Co zrobić z tą resztą? Whimpers wspomina również o omawianym przed wojną projekcie budowy pływających wysp na Atlantyku, które by służyły jako lotniska.

**LITERACI NA ZJEŹDZIE**



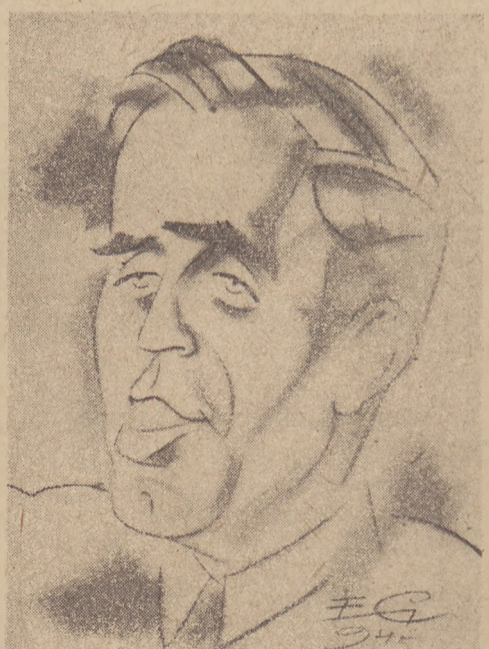
**JERZY ANDRZEJEWSKI**



**STEFAN OTWINOWSKI**



**ADOLF RUDNICKI**



**KAZIMIERZ WYKA**

rys. Edward Głowacki

**Polonica w Bibliotece im. Lenina w Moskwie**

Prasa radziecka podała, że w zbiorze inkunabułów z XV wieku, które posiada Biblioteka im. Lenina w Moskwie, znajdują się również dwa bardzo cenne okazy, drukowane w Krakowie w r. 1474. Są to znane bibliofilom dzieła kardynała Jana de Tur-recremata „Explanatio in psalteri” oraz „De doctrina christiana et alia opuscula” św. Augustyna. Są to obok „Calendarium” drukowanego w tym samym roku, a znajdującego się dotąd w Krakowie, pierwsze druki łoczone w Polsce. Drukarzem tych dzieł był Kasper Hofcheder z Metz, który przyjechał do Krakowa około roku 1474 i tu zabrał swoją oficynę. „Explanatio” była trzecim drukiem jego oficyny. Warto zaznaczyć, że egzemplarzy dzieł św. Augustyna znanych było tylko dziesięć, z czego jeden znajdował się w British Museum, jako dar prywatnej biblioteki króla angielskiego Jerzego III.

Oprócz tych skarbów znajdują się w Bibliotece Lenina „Prawo Saskie i Brandenburskie porządkiem abecadą z łacińskich i niemieckich egzemplarzy zebrane a na język polski z pilnością i wiernie przez Pawła Szczerbica na ten czas syndyka lwowskiego, nowoprzełożone, we Lwowie drukowane u Pawła Szczerbica Roku Pańskiego 1581”, oraz „Konstytucje Statuta Przywileje na walnych sejmiech koronnych od Roku Pańskiego 1550 aż do roku 1603 uchwalone, w Krakowie w drukarni Mikolaja Scharffenberga, króla Jego Miłości Typographa 1587 roku drukowane”. Niewielkim, ale rzadkim bardzo dziełkiem jest drukowana po łacinie u tegoż Scharffenberga w r. 1574 mowa wygłoszona na pogrzebie Zygmunta Augusta przez sekretarza królewskiego, Jana Dymitra Solikowskiego, z pięknym drzeworytem-portretem króla Zygmunta Augusta.

Do dzieł efektownych, które należą do poloników Biblioteki im. Lenina, zaliczyć należy poza tym znajdującą się tam „Kronikę Sarmacyi Europejskiej” napisaną przez Alexandra Gwagnina z Weroni, „pierwej po łacinie wydana w 1578 roku”. Z łaciny na polski przełożył ją Marcin Paszkowski i wydał w Krakowie w drukarni Mikolaja Loba w r. 1611. Kronika ozdobiona jest licznymi drzeworytami, obrazującymi historie Polski i świata. Do późniejszych natomiast druków, niemniej jednak cennych i rzadkich, które mogą zainteresować historyków polskich, należy zbiór 134 przemówień i listów wygłoszonych na Sejmie Czteroletnim oraz 48 not i listów wystosowanych przez Sejm do monarchów zagranicznych i postów cudzoziemskich w Warszawie. Są to m. in. „Głos J. W. Soltana Czeńska, posła powiatu Rzeczyckiego”, „Nota ks. Czartoryskiego do posła pruskiego Finkelsteina-Herzberga” i nawet noty rękopiśmienne. Jak podaje prasa radziecka, wiele z tych manuskryptów nie było dotąd wyzyskanych przez naukę polską, a nawet Estreicher nie uwzględnił ich w swej wielotomowej bibliografii druków polskich.

W zbiorze zawarte są przemówienia kanclerza Suchodolskiego, Michała Czackiego, M. Butymowicza, Józefa Ankwicza, Ksawerego Branickiego i wiele innych. Do curiósów należy bezspornie m. in. „Protęstacja przeciw sukcesji Tronu w Polsce” J. W. Seweryna Rzewuskiego, hetmana Polnego Koronnego y Stanisława Szczęsnego Potockiego, Generała Artyleryi Koronnej, napisana z prześwietnego województwa bractawskiego, napisana na pół roku przed uchwaleniem Konstytucji 3-go Maja. Dalej jest tu „Manifest J. W. Imci Pana Reytana, posła nowogrodzkiego przeciwko czynnościom bezprawnym Sejmu 1774 Roku dnia 1 Grudnia tegoż Roku do akt Publicznych dla zakazu nieprzyjęty, dla wiadomości publicznej do druku podany”, następnie „Instrukcje dla delegatów na Sejm 1786 Roku” oraz „Propozycje od Tronu Jego Królewskiej Mości Stanom Rzeczypospolitej na Sejm roku 1786 zgromadzonym podane” i wiele innych przyczynków do ostatnich lat dawnej Rzeczypospolitej.

Ciekawym źródłem do historii dyplomacji w Polsce są drukowane i rękopiśmienne teksty not posła carskiego hr. Stackelberga i innych posłów akredytowanych w Warszawie przy dworze królewskim,

a zwłaszcza pismo Ludwika XVI w związku z odwołaniem posła francuskiego w Polsce z datą 16 lutego 1791 roku i odpowiedź na to pismo, wystosowana przez ówczesny sejm, deklaracja króla pruskiego, protestująca przeciwko zawarciu umowy z Rosją itd.

Z nowszej historii zainteresuje z pewnością badaczy polskich, pracujących nad dziejami powstania 1863 roku, zbiór druków, dotyczących działalności Rządu Narodowego. Teczka ta przesłana była w r. 1864 z tajnej kancelarii general-policmajstra w Królestwie Polskim do moskiewskiej Cesarskiej Biblioteki Publicznej. Zbiór ten zawiera 45 litografowanych i odbitych dokumentów, wydanych przez Rząd Narodowy do wojsk powstańczych, władz tymczasowych i odezwy oraz apele do Europy.

W Bibliotece im. Lenina są także ciekawostki literackie. W jednej z ogniotrwałych szaf, gdzie mieszczą się szczególnie cenne okazy bibliofilskie, znajdują się dwa niewielkie tomiki poezji Adama Mickiewicza, pochodzące z prywatnej biblioteki znane go krytyka i poety, przyjaciela Puszkina, księcia Piotra Wiazemskiego. Jeden z tych tomików, wydany w 1822 roku w drukarni Józefa Zawadzkiego w Wilnie, zawiera własnoręczną dedykację poety: „J. O. księciu Piotrowi Wiazemskiemu w dowód szacunku. Adam Mickiewicz”. Drugi zaś — to pięknie wydany egzemplarz sonetów, łoczonej w drukarni uniwersyteckiej w Moskwie, nakładem autora. Z własnoręczną dedykacją: „J. O. księciu Wiazemskiemu w dowód szacunku — autor, Moskwa 1825 grudnia 20”.

W zbiorze rękopisów Biblioteki im. Lenina, poza krótkim liścikiem w języku francuskim Adama Mickiewicza do Pogodina, znajduje się dotąd nie opublikowany list Mickiewicza, także w języku francuskim, z dnia 4 czerwca 1844, adresowany do Fiodora Wasiliewicza Czyżowa, popularnego natenczas pisarza i krytyka. Do listu dołączony jest krótki opis, pióra Czyżowa, spotkania z Mickiewiczem w Paryżu.

Na zakończenie warto wspomnieć, że w Bibliotece im. Lenina znajduje się również oryginalna odezwa Herzena do Polaków „A nos Freres Polonais” (Do naszych braci Polaków) z 1856 roku, która swego czasu była uważana za credo postępowej inteligencji rosyjskiej w sprawie polskiej.

Marian Podkowiński

**KORESPONDENCJA**

**SPROSTOWANIE**

Do redaktora „Odrodzenia”

Do artykułu mego „O marksistowskie podstawy w ocenach estetycznych” („Odrodzenie”, nr 43) wkradły się następujące omyłki drukarskie: szpalta III, wiersz 17 od góry ma być nie „Nartorp”, ale Natorp, szpalta III, wiersz 22 od dołu ma być nie „uczuciami”, ale uczuciami, wreszcie szpalta IV, ustęp 4, wiersz 13-14 od góry ma być nie „oryginal”, ale oryginar.

Jan Tański (Łódź).

Wszystkie wydawnictwa nadsyłane do redakcji będą odnotowywane w specjalnej rubryce.

Recenzje zamieszczane będą jedynie z książek nadsyłanych bezpośrednio pod adresem redakcji.

Wydawcy i autorzy proszeni są o przysyłanie nowości w dwóch egzemplarzach.